Blues dla Suezabeth

Marek Hemerling

RW2010

MAREK HEMERLING

BLUES DLA SUEZABETH

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Korekta: zespół RW2010

Redakcja techniczna: zespół RW2010

Copyright © Marek Hemerling 2013

Okładka Copyright © Mateo 2013

Aby powstało to opowiadanie, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Utwór bezpłatny,

z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,

bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

Szlag by to trafił…

– Emeric! Hej, Emeric, na miłość boską, otwórz ślepia! Kawrasz, czy ty naprawdę nic nie słyszysz?!

Jakiś gówniarz tarmosi mnie za ramię, dopominając się najwyraźniej o solidnego kopa. Nie, panowie, nie lubię kaszany. Emeric to ja, zgoda, ale po co ten cały harmider?

– Won – mówię stanowczo i odwracam się na drugi bok. Pakując głowę pod poduchę, ze wszystkich sił próbuję wskoczyć w niedokończony sen. No i fajnie, tylko skąd tutaj, do ciężkiej cholery, wziął się ten idiotyczny wodospad?!

Lodowata kąpiel przywróciła mi świadomość. Klnąc w sposób prosty i przez to jak najbardziej zrozumiały, usiadłem na zmoczonym barłogu. Obok wyra stał Niemota, szczerząc tę swoją głupkowatą mordę. W potężnej garści trzymał puste wiadro. Nie ma sprawy, hojny z niego chłopak. Niech mi tylko jęknie, że chce mu się pić!

– Wymyśliłeś, tak? – Pokiwałem z politowaniem głową. – I jesteś zadowolony? – Znowu się zapowietrzył, połamaniec jeden. – Jasne – odpowiedziałem za niego, chcąc cymbałowi oszczędzić mordęgi. – Sprawdzałeś po prostu, czy jestem na chodzie. Taki mały, niewinny żart. Dobrze jest się pośmiać przed snem. A może ty już wstałeś, co? Wstałeś i po prostu poczułeś się samotny? Biedaczysko. Dam ci po ryju, chcesz?

Nie chciał. W sumie nawet mnie to nie zdziwiło.

– Ge… ge-ee…enerał ogłosił alarm! – zaskoczył za którymś podejściem.

– Znowu? – Zrezygnowany spuściłem nogi na podłogę. Pogięło faceta. Nie można spokojnie przespać jednej nocy. Albo Banjo męczy na organkach, albo ktoś ma imieniny, albo Generał z tym swoim nieustającym alertem.

– Która godzina? – spytałem tak na wszelki wypadek, wyciągając rękę po leżącą w nogach koi zmiętą bluzę. Niemota pokazał mi na palcach wpół do drugiej. Dopiero

teraz zauważyłem, że jest ubrany w pełny kombinezon bojowy z kamizelką antyradiacyjną, maską i tymi wszystkimi bajerami. Jeden bajer zaniepokoił mnie szczególnie: bezpiecznik miał nastawiony na ogień ciągły, a lufa tańczyła niebezpiecznie blisko mojej twarzy.

– Nabity? – zagadnąłem dla podtrzymania konwersacji.

Potwierdził radosnym skinieniem; omal mu nie urwało tego durnego łba. No tak, jak już alarm, to na cały gwizdek. Nie ma, że boli – musi boleć!

Ostrożnie ująłem lufę w dwa palce i skierowałem w dół. Dywan i tak był dziurawy, więc co najwyżej przepłoszy się kilka szczurów. Urządziły sobie pod deskami coś w rodzaju night clubu i chyba nawet korzystały z moich zapasów, bo ostatnio nie mogłem się doliczyć paru prezerwatyw. Być może używały ich zamiast świątecznych baloników albo w charakterze stroju organizacyjnego szczurzego Ku Klux Klanu. Co by to zresztą nie było, na pewno miały kupę zabawy.

Generał też miał kupę zabawy, tyle tylko że jako osobnik o wyższym stopniu komplikacji od szczura – zdania na ten temat były wprawdzie podzielone, ale mniejsza o większość – nadawał swoim igraszkom rozmach, o jakim te ambitne gryzonie nawet nie śniły. W tej chwili na pewno siedział w centralnym bunkrze i mając przed sobą całą ścianę monitorów, tarzał się ze śmiechu, widząc kilkudziesięciu frajerów miotanych wersetami świeżo opracowanej instrukcji alarmowej. Moje szczęście polegało na tym, że wspomnianą instrukcję zawiesiłem trzy dni temu na gwoździu i studiując ją etapami, dojechałem dopiero do rozdziału opatrzonego dynamicznym tytułem: „Gotowość bojowa na wypadek wydarzeń dziejowych”. Gdybym miał biegunkę, być może byłbym już kompletnie wyedukowany. Nie miałem i w ogóle czułem się obrzydliwie zdrowy, zwalając więc całą winę na układ trawienny, mogłem z czystym sumieniem wyjść na korytarz, zostawiając pod koją większą część ciężkawego sprzętu.

– Co teraz? – zwróciłem się do Niemoty.

Z przejęcia całkiem mu mowę odjęło. Dał mi tylko znak, żebym biegł za nim. Pobiegłem. Na pierwszym winklu minęła nas z rykiem silników trójka radosnych kretynów na zwiadowczych beemwicach – ledwo zdążyłem przykleić się do ściany. Rockersi z grupy Sancheza. Od czasu gdy Generał wziął pod klucz zapasy paliwa, wykorzystywali każdą okazję, żeby sobie pojeździć do upojenia.

Znalazłem Niemotę wciśniętego razem z gaśnicą w kosz na śmieci, dałem mu ożywczego kuksańca pod żebra i pocwałowaliśmy wykutym w skale korytarzem. Okazało się, że metę stanowi niklowany drąg, po którym strażackim systemem zjechaliśmy dwie kondygnacje do hali ciężkich moblerów. Tu się dopiero działo! Huk, smród spalin – ogólny bajzel. Oślepiony migotaniem alarmowych wariatów, ogłuszony rykiem syren, pędziłem uczepiony paska Niemoty. Gdzieś całkiem blisko rozległ się znajomy wrzask. Wciągnęli mnie do przedziału załogowego, pomogli zapiąć pasy. Kątem oka dostrzegłem Malika, jak dawał Grubemu znak, że można ruszać. Czekali na mnie – kochane chłopaki. Właśnie marzyła mi się majówka: mróz po pas, śnieg czterdzieści stopni, my w kartofle, w żyto, a tu dzika świnia – frrruuuu! Gdyby pojechali beze mnie, chyba bym umarł z żalu. Taki niefart. Przecież po to przeciąłem kable instalacji alarmowej w mojej klitce. Zapomniałem tylko o jednym drobiazgu – że mieszkam w jednym pokoju z idiotą. Niefart do kwadratu.

– Co się dzieje? – rzuciłem podchwytliwe pytanie w sitko interkomu.

– Czujniki zasygnalizowały kilkunastokrotny skok promieniowania i wstrząsy na kierunku NNW o sile sześciu w skali Richtera – usłyszałem w słuchawkach głos Malika. – Alarm purpurowy trzeciego stopnia, z obsadzeniem wewnętrznej rubieży obronnej, zgodnie z paragrafem szóstym punkt drugi…

– Ahaaa… – dyskretnie ziewając, spojrzałem na cyfrak zamontowany nad przejściem do sterówki. Pierwsza czterdzieści. Prosty rachunek, że spałem zaledwie pół godziny. A może śpię dalej i to wszystko zwyczajnie chromoli mi się pod czaszką? Dla pewności przygryzłem sobie wargę, a że akurat Gruby darł ostro po

nierównościach, odrobinę przedobrzyłem. Smakując świeżą krew, uśmiechnąłem się do siedzącego naprzeciwko Textera. On też nie spał. Przytrzymując obiema rękami pękaty brzuch, zieleniał i wytrzeszczał oczy. Jeśli przyjdzie mu ochota rzucić pawia…

Pod czaszką łupnęło ciut mocniej – wesołe myszki, którym kazałem pomalować białe grzbiety pomarańczową farbą dla odróżnienia od obcych majaków, rozpoczęły poimprezowe harce. Banjo chyba doprawiał ten bimber jakimś świństwem.

– Wóz numer pięć, zająć pozycję na Krecim Wzgórzu! – głos samego Generała przedarł się przez lawinę trzasków i zakłóceń.

Na Krecim Wzgórzu nie było najgorzej. Bunkier obszerny, wygodny, doskonale wyposażony – po prostu wzorcowy obiekt bojowy. Wystawimy czujkę i spróbujemy spokojnie dospać. Texterowi też się morda ucieszyła, nawet nabrał zdrowszego koloru. Puścił do mnie oko. Pomyślałem sobie, że Texter nie uśmiecha się bez powodu. A powód do radości ma tylko jeden.

– Starczy? – spytałem przez sitko, żeby nie zdzierać gardła.

– Starczy to jest uwiąd – odpowiedział z obrażoną miną.

– Ty się, Emeric, w ogóle nie interesuj – wtrącił z góry Malik. Wcale nie należał do małych. Ledwo się mieścił w wieżyczce i w dodatku był Murzynem. – Ty masz dzisiaj karny dyżur za to, że wczoraj na imprezie nabluzgałeś Madonnie i wylałeś jej na głowę całą flaszkę bimbru.

Paskudny, łysy czarnuch.

– Wrabiasz mnie – warknąłem.

– Pamięć ludzka jest zawodna, a tobie film urwał się na krótko przed tym, jak odwalając męski striptiz, śpiewałeś kolędy.

– Tak ci żal Madonny?

Malik zaśmiał się ponurym basem.

– Flaszki mi żal, kretynie.

***

– **W**iesz, Ed, ciągle się boję, że ten nasz wyjazd to jednak nie był dobry pomysł.

– Może i nie był dobry, ale na pewno najlepszy ze wszystkiego, co w ogóle można zrobić.

– Myślisz, że nam się uda? Rany boskie, nawet nie mielibyśmy za co wrócić…

– Nie wiem, Sue, pojęcia nie mam. Cholera, trzeba się było wybrać do wróżki.

– Nie złość się. Teraz i tak jesteśmy jedną nogą po drugiej stronie…

– Obiema. Popatrz przez okno.

– O Boże, jakie piękne!

– Podoba ci się, prawda? Dotychczas mogłaś to oglądać tylko na pocztówkach. Zapnij pasy i nie myśl tyle. Do licha, Sue, człowiek ma tylko jedno życie. Plułbym sobie w brodę, gdybym nie zaryzykował. Nie mógłbym spojrzeć w lustro. Nawet jeśli się nie uda, będę przynajmniej wiedział, że próbowałem… Zresztą, czy ja naprawdę żądam tak wiele? Chcę tylko grać, nic więcej.

– I robisz to.

– Ale muszę też jeść.

– Jezus Maria, cała się trzęsę.

– Nic dziwnego, mała. Przed nami brama do Sezamu. Za dziesięć minut lądujemy.

– Daj spokój. Co będzie jutro?

– Jutro? Któż to może wiedzieć? Może Victoria Hall, a może obóz imigrantów.

– Jesteś okropny, nie lubię cię.

– To przecież nie ja. To życie.

***

Niemota tańczył. Na wielki, kanciasty łeb założył słuchawki z antenką, ledwie widoczne w bujnej, splątanej czuprynie. Duże ciemne okulary zasłaniały mu pół

twarzy, maskując niedostatki urody. Podkład musiał mieć ostry, bo giął się jak obdzierany żywcem ze skóry szczur. Od czasu do czasu dodawał sobie animuszu spazmatycznym jękiem rozkoszy i rytmicznym poklaskiwaniem – aż echo niosło się betonowym korytarzem. Obok na podłodze stał przenośny Sony i porozumiewawczo mrugał diodami. Schyliłem się i nie przerywając chłopakowi zabawy, puściłem muzykę na głośniki. Aż mną zatelepało. Kawałek na pewno był dobry do tańca – nie dawał szans na zgubienie rytmu. Nawet betonowe ściany bunkra zaczęły podrygiwać w takt monotonnego łupania bębnów.

– Podoba ci się?! – zaryczał mi nad uchem Texter. Ledwo go dosłyszałem.

– Rewelacja! – wrzasnąłem z bolesnym uśmiechem. – Dla mnie bomba!

Kucnął i wyłączył głośniki. Niemota dalej odwalał taneczny maraton, nawet się nie zasapał. Człowiek by za niego grosza nie dał, a tu proszę – kondycja jak u olimpijczyka.

– Masz szczęście, że Malik się nie obudził. – Texter pociągnął mnie do wyjścia. – Dałby wam popalić.

– Śpi?

– A co ma robić? Przecież jest alarm.

– No jasne. Ale ze mnie cymbał.

– Wartownik jesteś – pouczył mnie Texter. – Cymbał też, ale przede wszystkim wartownik. A co powinien robić wartownik? No? – Podniósł wskazujący palec na wysokość nosa i zrobił zeza. – No co?

– Czuwać, bo wróg nie śpi – wyrecytowałem z kamienną twarzą.

– Jaki wróg, Emeric? – Texter popatrzył na mnie ze zdziwieniem. – Weź ty się walnij pięścią w czoło.

– No dobra – skapitulowałem. – Co jest grane?

Kiwnął, żebym szedł za nim. Na zewnątrz była jeszcze noc. Smutny księżyc prezentował nam spuchniętą, srebrzystosiną mordę – też miał kaca. Z braku lepszego

zajęcia oświetlał plener, a ściślej mówiąc południowy stok wzgórza, będący najzwyklejszą w świecie łąką pełną krecich kopców, na których łatwo można było skręcić nogę. W dole, jakieś dwa kilometry w linii prostej, zaczynał się las. I właśnie stamtąd…

– Cholera! – Texter złapał mnie za ramię. – Pędź do szopy i ściągnij Grubego. Migiem. Ja lecę budzić Malika. – Pognał z powrotem.

Spojrzałem w stronę zbliżającego się warkotu silników. Po kichaniu gaźnika poznałem generalskiego dżipa. I jeszcze dwa albo trzy motory w obstawie. Świnia z tego Sancheza – mógł przecież puścić przodem kogoś z ostrzeżeniem.

Wpadłem do szopy. W rogu, za stertą przegniłej słomy znajdowało się zejście do wykopanej w glinie piwnicy. No jasne – nawet nie zatrzasnął klapy. Smuga światła i cicha muzyczka – nieśmiertelne Radio Luksemburg, Two-O-Eight…

– Zwijaj majdan, Gruby! – wrzasnąłem. – Generalicja przyjechała!

Żadnej odpowiedzi.

Namacałem szczeble drabiny i zlazłem pospiesznie na dół, klnąc walącą mnie po kości ogonowej kolbę giwery. W pierwszym pomieszczeniu nie było nikogo. Na węglowej kuchni buzował wielki gar z zacierem, a wychodzące z pokrywy miedziane spirale chłodnic odmierzały czas, uroczyście pokapując do podstawionej bańki. Pchnąłem koślawe drzwi i wszedłem za drewniane przepierzenie. Powietrze było tu tak gęste, że aż mnie cofnęło. Gruby stał przed zajmującym pół ściany lustrem i wklepywał w policzki hałdę kremu. W zasięgu ręki miał pół gabinetu kosmetycznego i korzystał z niego obficie, skrapiając się co chwilę wodą kolońską i dezodorantami najróżniejszej maści. Od ich zapachu zaczęło mnie wiercić w nosie. Kichnąłem.

– Na zdrowie. – Gruby wyszczerzył zęby. – Texter cię przysłał po bańki?

– Po ciebie – odpowiedziałem z promiennym uśmiechem. – Generał wali tu jak w dym. Właśnie sforsował las i chce nas wziąć z marszu.

– Już idę – skończył oklepywanie pyska i wbił uwodzicielski wzrok w swoje odbicie. – Ciągle jestem śliczny – mruknął, poprawiając grzywkę. – Jak myślisz – zwrócił się do mnie – czy nadal jestem przystojny? – W jego oczach dostrzegłem żarliwą prośbę.

– Bezwarunkowo – potwierdziłem, nie chcąc sprawić mu zawodu. – Brilta będzie zachwycona.

Zrobił taką minę, jakbym mu zaproponował stosunek z parchatą niedźwiedzicą w wieku emerytalnym.

– Brilta mi zlega – oznajmił, przywracając twarzy normalny, to znaczy kuszący wygląd. – Odpadła w procesie doboru naturalnego. Teraz zabieram się za Princessę.

– Masz pewne – podsumowałem, chcąc zakończyć jałową dyskusję. – Musimy grzać na górę. Generał…

– Ach, te laski – Gruby nie dawał się tak łatwo zbić z tropu. Jeszcze raz spojrzał w lustro i tym razem zburzył sobie grzywkę, odwalając całą serię groźnych, tajemniczych i zalotnych min. – Mówiłeś coś o Generale – zainteresował się nagle. – Czyżby odwołał alarm? Zacier jeszcze nie gotowy.

– Ja idę – powiedziałem zrezygnowanym tonem. – Nie chciałbym być na twoim miejscu, jak zaliczymy wpadkę. Malik obedrze cię ze skóry, a chyba nie marzysz o operacji plastycznej.

– Jakiej operacji, o czym ty mówisz?! – Kopnął drzwi i już wdrapywał się po drabinie. – Ruchy, Emeric! Ruchy! Chyba nie chcesz, żeby mnie oszpecili. Kawrasz, z tymi żółtodziobami zawsze są jakieś kłopoty. – Mało brakowało, a przeciąłby mnie na pół metalową klapą.

Zrzuciliśmy na właz trochę słomy i wypadliśmy z szopy, jakby goniło nas stado diabłów. Pośpiech zupełnie zbyteczny, wziąwszy pod uwagę fakt, że tuż za progiem nadzialiśmy się na światła kilkunastu reflektorów skoncentrowanych na naszych skromnych osobach. Wpadka na całej linii.

– Poddajcie się – zarzęził megafon. – Jesteście otoczeni!

Oślepiony uniosłem ręce.

– Żywcem nas nie wezmą – usłyszałem z boku rozgorączkowany głos Grubego. – Skacz w lewo.

Nigdzie nie skoczyłem. Nie chciało mi się. Wolałem być wzięty żywcem. Może jako jeniec będę miał wreszcie okazję złapać parę godzin snu.

Zza węgła stodoły poszła długa seria, rozwalając mniej więcej połowę reflektorów. Szczęk zmienianego magazynka zabrzmiał równocześnie z wariackim śmiechem Grubego.

– Zgaście światła! – ryczał megafon. – Przestań strzelać, idioto! Odbiło ci, czy co?! To ja, Sanchez!!!

Wcale nie chciało mi się spać. Już nie. Poczułem nieodpartą potrzebę zdobycia sprawności kreta. W tym celu padłem na ziemię i zacząłem w niej ryć jak opętany.

– Gruby, słyszysz mnie?! – Sanchez zrezygnował już z megafonu i wrzeszczał bezpośrednio.

– Chcesz mi zrobić operację! – Seria. – Zabieraj się stąd razem ze swoim Generałem! – Dwie krótkie serie. – I tak ci wytnę Princessę! – Długa seria, aż do szczęku pustego magazynka.

– Zapalcie te światła – to był głos Malika. – Już mu się skończyła amunicja.

– Żywcem mnie nie weźmiecie! – zaryczał Gruby.

Musiał zapamiętać ten tekst, oglądając jakąś batalistyczną szmirę i teraz wcielał się w bohatera swoich snów. Przerwałem prace ziemne – miałem już pół metra przedpiersia, więc mogłem spokojnie podziwiać jego odwagę. Facet wyraźnie się marnował. Gdyby żył sto lat wcześniej, bez większego trudu zostałby narodowym herosem. Oczywiście pod warunkiem, że w nagrodę za zwycięstwo obiecano by mu tabun młodych, zakochanych w nim bez pamięci lasek. Wszystko jest kwestią odpowiedniej motywacji. Ja na przykład… No właśnie, co ja tu właściwie robię?

Siedzę na tym zapomnianym przez Boga i ludzi zadupiu i w towarzystwie kilkudziesięciu podobnych mi kretynów realizuję koncepcje nawiedzonego Generała. Inna rzecz, że gdyby nie on… Cholera, przecież to wszystko miało być zupełnie inaczej!

***

– **E**d.

– Tak?

– O czym myślisz, Ed?

– Rany Julek…

– Z czego się śmiejesz, idioto?

– Po prostu dawno nie słyszałem tego pytania w czystym ido. Tutejsze babki mówią strasznie przez nos, a słowa są tak jakoś dziwnie pozawijane. Po naszemu brzmi to o wiele… Dlaczego mnie bijesz? Zostaw tę poduszkę, bo mnie udusisz. Sue, przestań, dlaczego płaczesz? Sue.

– Mógłbyś nie mówić… takich rzeczy.

– Ale z ciebie wariatka. Sue, przepraszam, jeśli… Do ciężkiej cholery, czy ja mam pretensje, że ty z tym mydłkiem…

– Nie nazywaj go tak. On jest dobry.

– Jasne. Cała kupa dobrych ludzi pchała taczki i w ten sposób powstała historia, w której nie było dnia bez gwałtów, rabunków i rzezi. Sue, skarbie, o czym my tu w ogóle rozmawiamy? Przecież to nasz wielki dzień. Szampana?

– Tak. I papierosa.

– Służę uprzejmie. Papieros, szampan… Za twoją pierwszą płytę.

– Naszą płytę.

– Nie, nie, to ty jesteś gwiazdą. Ja tylko skomponowałem parę numerów i gram w zespole akompaniującym wspaniałej, czarującej, rewelacyjnej Suezabeth Frings.

Panie i panowie, przed wami objawienie wokalistyki jazzowej ostatniego sezonu, spadkobierczyni najlepszych… Co się stało?

– Wylałeś mi szampana.

– Szampana? Drobiazg, już podjeżdża! No, mała, czin-czin. Do dna.

– Do dna… Co będziemy robić potem?

– Kiedy potem? Jak skończymy trasę? Mam parę pomysłów. Przeprowadziłem wstępne rozmowy z tymi grubasami z LSC, dałem im taśmy demo. Są umiarkowanie zainteresowani, ale chyba to kupią. Wiesz, mam zupełnie nową koncepcję, całkiem zwariowana muzyka, nietypowe metrum – wszystko! Muszę jeszcze nad tym posiedzieć. Kilka drobiazgów trzeba dopracować, rozgryźć do samego końca, bez żadnej dykty… Sama wiesz najlepiej. Kupa roboty, ale dobrze, o to właśnie chodzi.

– Jesteś wariat, Ed. Szczęśliwy wariat. Masz swoją muzykę i ona ci wystarcza.

– A tobie nie?

– Nie wiem. Chyba też, skoro robię to wszystko…

– Ale czy jesteś zadowolona, że to robisz?

– Tak. Chyba tak… Nie wiem zresztą.

– Gadaj tu z babą. Chcesz jeszcze szampana? Gdzie jest ta butelka? O, mam, podsuń kieliszek…

– Wiesz, Ed, on chce, żebym za niego wyszła.

– Kto?! Ten… Richardson?!

– Tak. Dlaczego milczysz? Powiedz mi, poradź coś. Kogo mam się pytać?

– Kocha cię?

– Tak.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– No a czy… ty… jego też?

– Na miłość boską, Ed, potrzebuję jakiegoś oparcia! Nie potrafię tak jak ty żyć tylko muzyką!

– Wiem, Sue, wiem. To by wiele uprościło. Dostałabyś od ręki obywatelstwo, poza tym Richardson jest niezłym menadżerem, ma wiele do powiedzenia w branży, no i ma pieniądze…

– Nienawidzę cię, kiedy tak mówisz.

– Mogę milczeć, ale czy to cokolwiek zmieni?

***

Malik nawiązywał łączność ze sztabem. Siedział sobie w kącie przy radiostacji, żuł gumę i nawiązywał. Miło było na niego popatrzeć. Miał w klapie dwa błyszczące dzyndzle w kształcie litery „V", odznakę „białego kła" na rękawie i był w swoim żywiole.

– Kreci Szaniec do Gniazda Orłów! Jak mnie słyszysz?! Odbiór – Trzask przełącznika, szum w eterze, jakieś piski i znowu: – Kreci Szaniec do Gniazda Orłów! Kreci Szaniec… – I tak w kółko.

– Nudno – stwierdził Texter zbolałym głosem.

– Pewnie, że nudno – zgodziłem się. – Wszystkie orły w okolicy dawno wyzdychały. Masz zapałki?

Wyjął z kieszeni pudełko i pchnął je po stole w moją stronę. Wcale nie chciało mi się palić, ale przecież było nudno. Malik od ponad godziny wywoływał Generała, a my, z braku lepszego zajęcia, tkwiliśmy tu jak kołki w płocie.

– Degustacja – oznajmił nagle Texter takim tonem, jakby komunikował całemu światu, że się mylił, że całe jego dotychczasowe życie było błędem i że teraz zamierza zacząć wszystko od nowa.

Ziewnąłem. Może być i degustacja. W końcu – co za różnica?

– Coś taki kwaśny, Emeric? – zainteresował się. – Masz kłopoty?

– A ty ich nie masz?

Wzruszył ramionami i rozstawiwszy na blacie dwa metalowe kubki, wyciągnął z kieszeni piersiówkę.

– Tutaj nie mam – mruknął, rozlewając kolejkę na „Ojcze nasz…”. – A tam mnie nie ma. – Starannie zakręcił butelkę. – Proste, co?

Pewnie, że proste. Nie podoba ci się świat, to go olej. Masz kłopoty, to je zostaw. Właśnie w ten sposób Generał werbował swoją „armię”. Trzymał w łapie jeden cholernie duży atut – nie zadawał żadnych pytań. Mogłeś być garbatym kretynem albo całkiem głupim blondynem, smutnym profesorem lub zboczonym tenorem, agentem ściganym przez wszystkie wywiady świata czy gagatkiem, którego szuka tata – wcale go to nie interesowało. Taki dobry wujek, lekko szurnięty w mózg. Baczność, spocznij, na prawo patrz! Proszę bardzo, dlaczego nie? Sprawiało mu to radość, nam nie sprawiało kłopotu. Doskonała symbioza. Żyj i daj żyć innym.

– No, dalej – zapodał Texter. – Za naszą i waszą, z dostępem do gotówki.

Nie miałem ochoty na picie. Bardziej pasowałaby mi kawa. No cóż… Zatelepało, żołądek wywrócił się na lewą stronę, pobiegł gdzieś w bok, nagle był już pod gardłem… Zacisnąłem zęby. Trochę lepiej.

– Paskudztwo – stęknąłem, przełykając ślinę.

– Pić trzeba – zawyrokował Texter, nalewając drugą kolejkę. – Lekarz mi to powiedział.

– Kreci Szaniec do Gniazda Orłów! – pokrzykiwał Malik z uporem godnym notki w Księdze Rekordów.

– Ma chłop zdrowie – stwierdziłem, przegryzając kolejny kubek sucharem z polowej racji. – Przecież Generał śpi jak zabity.

– A kto ci nagadał takich głupot? – oburzył się Texter. – W czasie akcji Generał nie śpi, tylko czuwa na posterunku. Są kłopoty z łącznością, być może to robota

nieprzyjaciela, ale Generał… Nie, nigdy nie mów przy mnie takich rzeczy. Nawet o tym nie myśl.

– Dobra – zgodziłem się. – Tylko wytłumacz mi, co tu robił Sanchez w generalskim dżipie? Przecież to on podstawił wodzowi termos z luminalem, to znaczy, chciałem powiedzieć, z herbatą i pożyczył sobie sztabowy pojazd operacyjny w celu… – przerwałem, bo Texter patrzył na mnie z wyraźną niechęcią.

– Panie sędzio, z kim ja pracuję – westchnął. – Co ty mi tu za pierdoły serwujesz, Emeric? To może od razu powiesz, że mamy pod stodołą bimbrownię?

– Przepraszam. – Walnąłem kubkiem o blat. – Dolej mi, proszę, tego świetnego soku malinowego.

Piersiówka zabulgotała – tym razem na „Ojcze nasz, któryś…".

– No widzisz, od razu lepiej. – Texter uraczył mnie ojcowskim uśmiechem. – Zachowuj się, Emeric. Byle jak, ale się zachowuj. My tu tyramy po nocach, a ty ciągle zgłaszasz jakieś pretensje. Myślisz, że Malik nie miałby ochoty się zdrzemnąć? Myślisz, że ja nie jestem zmęczony? Ale przecież nie można odwołać akcji bez rozkazu. Chyba sam rozumiesz?

Rozumiałem, a jakże. Koń by zrozumiał.

– To jeszcze nic – rozgadał się Texter. – Żebyś ty widział, jaką zadymę urządził tu kiedyś Banjo. Generał nam wtedy zachorował i chyba przez tydzień nie było żadnych manewrów. Ludzie marnieli w oczach. Wszystkie zapasy wyschły, wiara chwytała się już takich wynalazków, że Gruby musiał trzymać wartę przy swoim zakładzie kosmetycznym. Człowieku, istne piekło. Ani grama płynu, laski takie brzydkie, jakby się z sabatu urwały. Masz pojęcie, co za klęska?

Nie miałem pojęcia, ale na wszelki wypadek kiwnąłem głową.

– No i właśnie wtedy Banjo ogłosił alarm. W środku nocy uruchomił syreny, wrzucił kilka granatów gazowych do szybu wentylacyjnego i od razu pognał do hali moblerów. Generał z miejsca wyzdrowiał. Pewnie myślał, że naprawdę grzmotnęło.

Odblokował bramy i zaczął odstawiać te swoje procedury. W załogę jakby nowy duch wstąpił, ale Banjo zyskał te parę chwil wyprzedzenia. Zdążył się okopać na Krecim Wzgórzu i przez blisko kwadrans walczył jak doborowy oddział komandosów. Kiedy wreszcie sforsowaliśmy zapory, łapał właśnie czwartą prędkość kosmiczną. No, skool. – Trącił mój kubek.

Skoolnęliśmy. Miałem już całkowitą jasność. Zacząłem – jakby to pewnie powiedział Texter – przedmuchiwać dysze, przygotowując się do odlotu. Na dodatek przyszła mi do głowy taka śmieszna, pokręcona melodyjka. Spróbowałem ją zanucić, ręce same ułożyły się na brzegu blatu jak na klawiaturze.

– No ładnie, już mi tu śpiewać zaczynasz. – Texter pokręcił głową. – Pamiętaj, musisz być dzisiaj w formie.

– Jasne – wyszczerzyłem zęby i „grałem" dalej.

– Powiedz mi, stary – ciągnął z flegmą – dlaczego się uparłeś, że ten fortepian musi być od razu zielony? Przecież, do ciężkiej cholery, mógłbyś go zwyczajnie przemalować.

– To nie takie proste, Tex, słowo daję. Ja, widzisz, jestem paskudnie wygodny i jak już postanowiłem wywalić taką kupę szmalu, to nie po to, żeby potem bawić się w pacykarza. Gdybym chciał zostać malarzem, kupiłbym sobie farbki, pędzle i kilka hektarów płótna.

– W porządku, ale dlaczego zaraz zielony?

– Bo nie żółty – wyjaśniłem wyczerpująco.

Chciałem go jeszcze spytać, czy dostał świeżą prasę, ale wtedy drzwi otworzyły się dość gwałtownie i do środka wpadł Gruby, popychając Niemotę. Wyglądał jak porucznik Rambo w końcowych scenach filmu, tyle tylko że był normalnego wzrostu. Wystarczyło na niego spojrzeć, by nabrać pewności, że żywcem go nie weźmiemy. W dodatku miał zakładnika.

– Chcę rozmawiać z Generałem! – wrzasnął, wymachując bagnetem.

– Kto by nie chciał. – Texter wzruszył ramionami, wskazując radiostację, przy której pochrapywał Malik. – Bańki już dawno załadowane, zacier nastawiony, a my tu ciągle kwitniemy bez sensu. – Dostawił dwa nowe kubki. – Zdegustujecie?

Niemota, skrępowany klasycznym „pytonem", nabierał coraz żywszych kolorów. Zrobiło mi się go żal.

– Całą mordę masz wysmarowaną błotem – powiedziałem do Grubego. – Wylezą ci pryszcze.

– Jestem na wojennej ścieżce – warknął. – To są plamy maskujące.

– W porządku. – Kiwnąłem ze zrozumieniem głową. – Ale jak już wygrasz, to będziesz brzydki. Widziałem raz takiego faceta. Całą mordę miał sparszywiałą. Laski na jego widok uciekały, gdzie pieprz rośnie. Mówię ci, paskudna sprawa z tym błotem. Nic nie czujesz?

– Trochę swędzi, fakt – przyznał niechętnie.

– Musisz być bardzo dzielny, to dopiero początek – ciągnąłem ze współczuciem. – Ciekawe, co na to powie Princessa?

– Sanchez jej wszystko wytłumaczy. – Texter zarechotał.

– Nie chcę o nim słyszeć! – zawył Gruby, wymachując bagnetem. – Kanciarz, zdrajca, impotent… To on napuścił Generała, żeby mnie oszpecił. Wie, że tylko w ten sposób może ze mną wygrać. Ja go… – zawiesił głos w potęgującej napięcie pauzie – …wy-ste-ry-li-zu-ję. – Umilkł, zachwycony wizją totalnej zagłady Sancheza.

Sprawa była jasna.

– Syndrom psa ogrodnika w połączeniu z manią prześladowczą i elementami narcyzmu – powiedziałem. – Wszystko to na bazie nadmiernie rozwiniętego popędu, w klasycznym, freudowskim ujęciu. Niezły temat na doktorat, co?

– Całkiem niezły – zgodził się Texter i zadysponował zawartością piersiówki. – No to walnij, Gruby, za ten swój doktorat.

Grubemu ze wzruszenia mowę odjęło. Puścił zakładnika, wbił bagnet w stół, siadł, nagle zerwał się, podniósł prawie gotowe zwłoki Niemoty z podłogi i posadził je na stołku, wciskając w rękę napełniony kubek.

– Pij, brachu. – Pogłaskał go czule po kwadratowym łbie. – Pij za mój doktorat.

– Kto wie, może nawet za habilitację – mruknąłem.

– O rany – jęknął Gruby. – Habilitację…

– A Generałem się nie przejmuj – wtrącił Texter. – Wcale go tu nie było.

***

– **C**ześć, Ed. Mogę wejść?

– Głupie pytanie.

– Nie ma u ciebie nikogo?

– Nie. Dlaczego pytasz? Sue, jesteś pijana!

– Tylko ciut. Na odwagę.

– Też pomysł. Przecież nie gryzę. No, właź, bo zimno. Rozbierz się, cała jesteś mokra. Wstawię wodę na herbatę. Zjesz coś? Już ciemno, a ja jeszcze nie jadłem obiadu. Zjemy razem. Widzisz, świetnie, że przyszłaś, pomożesz mi. Zrobimy sobie ekstra kolację, jak kiedyś.

– Nie jestem głodna.

– Nie marudź tyle. Siadaj i mów, co się z tobą działo przez ostatni rok.

– To raczej ty masz wiele do opowiedzenia. Czytałam recenzje w Kronice Muzycznej i innych gazetach. Edward Emeric, największy kosmopolityczny talent w dziejach synkopowanej muzyki. Jazz równa się „E” kwadrat. Krytycy pieją z zachwytu, nagrania chodzą na wszystkich kanałach. Szukałam wywiadów z tobą, ale nie trafiłam, chociaż zdarzały się zapowiedzi.

– Spuszczałem pismaków ze schodów. Dla fasonu. No bo co miałem z nimi zrobić? Zastanów się, przecież im nie powiem, że to wszystko jest jedną wielką

komercyjną dyktą, wyprodukowaną po to, żeby zatkać gęby tym cymbałom z LSC. Musiałem im przynieść dochód. I przyniosłem. Ludzie kupują, krytycy bąblują, grubasy liczą pieniądze, a ja mam rok w plecy i dopiero teraz zabieram się za to, co naprawdę chciałem… Cholera, za mało soli! Teraz będą musieli zamknąć japy i słuchać, co powiem. Podpisali kontrakt, w którym dają mi wolną rękę. Mieli cykora, że przejdę do jakiejś niezależnej wytwórni i zgodzili się na wszystko, byle nie stracić kury znoszącej złote jajka.

– Coś się przypala!

– Omlet. Z czego się śmiejesz? Zaparz lepiej herbatę i zajrzyj do lodówki. Trzymam tam butelkę Canei na specjalne okazje i właśnie przyszła pora, żeby ją uszkodzić.

– Jakbyś zgadł. Gdzie są kieliszki?!

– Są tam, na półce! Jak ci idzie z tym Richardsonem?!

– Nie wrzeszcz, stoję koło ciebie. Z Robertem wszystko w porządku.

– Coś mi nietęgo zeznajesz.

– Pytał o ciebie. Chciał cię zaprosić na naszą rocznicę, ale byłeś w trasie.

– Zbytek łaski.

– Nie mów tak. Wiesz, on cię bardzo lubi.

– Posiekaj cebulę, a ja otworzę jakąś puszkę. Nagrałaś coś ostatnio? Wróciłem tydzień temu i nie miałem czasu…

– Nic.

– Dziewczyno, czy ty masz dobrze w głowie?! Taki świetny start i co, zdechło? Trzeba iść za ciosem, rozwijać się. Nie wzruszaj ramionami. Ja wiem, że to brzmi jak umoralniająca czytanka, ale…

– Daj tę puszkę, bo sobie ręce pokaleczysz i umrzesz z głodu.

– A talerze?

– Już rozstawiłam. Nie przeszkadzaj. Najlepiej usiądź przy stole i zaczekaj, zaraz skończę.

– Przecież to ja cię zaprosiłem.

– A ja przyjęłam zaproszenie. Masz świece?

– Fiu, fiu, to aż tak? Jasne, że mam. Już się robi. Raz, dwa, trzy, kryjesz ty. Światła stop! Kurtyna!

– Ładnie. Nalej.

– Za co pijemy pierwszy toast? Rany, ale masz poważną minę.

– Bo to jest poważna sprawa.

– Wal śmiało.

– Wiesz, Ed…

– No dalej, mała, zrzuć to z grzbietu.

– Ale obiecaj mi, że się zgodzisz.

– Niech ci będzie, zgadzam się.

– Chcę, żebyś mi zrobił dziecko.

– …?!

– Ed, obiecałeś przecież… Nie patrz tak, proszę…

– Zwariowałaś? Co na to twój mąż?

– On… On jest bezpłodny, Ed. Boże, dlaczego ty się musisz śmiać w najmniej odpowiednich momentach…

– Sue, skarbie, to przecież nie ja. To życie.

***

Ten alarm trwał zdecydowanie dłużej niż poprzednie. Zanim dobudzono Generała, było już koło południa. Trochę się zdziwił, że przespał ulubiony serial pod tytułem „Moje dzielne zuchy na posterunku” i dlatego zafundował nam po powrocie pół godziny musztry. Twardy zawodnik, w dodatku wyspany. Joby sypały się ze

wszystkich stron. Kilkunastu zlegowców łaziło po placu apelowym z gracją słonia zatrudnionego na etacie primabaleriny – musiałem piekielnie uważać, żeby nie dać się zadeptać. Pominąwszy ten drobny szczegół oraz fakt, że słońce tego dnia było w znakomitej kondycji, ranek należało zaliczyć do udanych. Jeszcze tylko defilada: pięć niemiłosiernie obdrapanych moblerów poprzedzanych przez kolumnę motocykli przejechało pod skalną półką, na której nasz wódz – prawie dwa metry wzrostu, pięćdziesiąt kilogramów wagi, czterdzieści lat i gigantyczne brzemię odpowiedzialności wyraźnie widoczne w zatroskanych oczach – oddawał się radosnej obserwacji. Miał na sobie szyty na miarę, podobno generalski mundur, z imponującą kolekcją naszywek i błyskotek. Od dnia mojego przybycia do bunkra liczba ich znacznie wzrosła.

– Z tą defiladą to już była przeginka – stwierdził Texter, kiedy wjechaliśmy wreszcie do hali moblerów. – Co on sobie właściwie myśli, ten stary cap?

– Och, mój drogi chłopcze, przecież nikt cię do niczego nie zmusza. – Malik błysnął białkami. – Zawsze możesz zawinąć kitę i pobiec do domu. Żona na pewno pozwoli ci przekimać jedną noc, może nawet nie będzie jej bolała głowa, a później pójdziesz prościutko do prokuratora i spokojnie odpękasz te brakujące siedem lat. Co to dla ciebie?

– Odezwał się grzeczny bobas. – Texter odkręcił kran i przez dłuższy czas wyrównywał niedobory wody w organizmie. – Wszystko to jedna banda, panie sędzio, a ja siedzę – burknął po chwili. – A ty pamiętaj o obiedzie, Emeric. – Klepnął mnie jeszcze pieszczotliwie w kark, aż mi dech zaparło i pakując łapy w kieszenie, pomaszerował razem z Grubym do wyjścia.

– A co z tym bajzlem? – Wskazałem na kupę rozwalonego wokół moblera barachła, zwanego przez regulamin sprzętem. – Mnie też głowa boli.

– To się nosi rękami – pouczył mnie Malik. – Głowę zostaw w spokoju, w ogóle o niej nie myśl. A na drugi raz nie spóźniaj się na wyjazd.

Chciał nie chciał, musieliśmy z Niemotą przetargać te pół tony złomu do pobliskiego boksu. Podobno praca uszlachetnia. Pełen najszczytniejszych ideałów podszedłem do Malika zameldować, że może już zaplombować ten swój pieprzony magazyn. Wcale się nie ucieszył. Trzymał w ręku moją giwerę i z niesmakiem oskubywał oblepiające ją błoto.

– Lubię cię, Emeric – powiedział, łypiąc na mnie spode łba. – I dlatego nie mogę spokojnie patrzeć, jak dopraszasz się o jakąś dodatkową fuchę. Naprawdę nie szkoda ci czasu?

Było mi szkoda – a jakże! Tak na oko ze trzydzieści lat. Ktoś może powiedzieć, że to nic, że przede mną jeszcze co najmniej drugie tyle, ale nie bardzo chciało mi się w to wierzyć.

– Wiesz, jak jest. – Wzruszyłem ramionami. – My tu, tam wróg, wokół blask wiecznego dnia…

– Opowiem ci coś, chłopcze – powiedział Malik, obejmując mnie ramieniem i prowadząc w stronę wyjścia z hali. – Generał, zanim został Generałem, był zwykłym sierżantem w prawdziwej armii i bardzo się przejmował obowiązkami. Kiedyś, robiąc przegląd broni swojego plutonu, trafił na zafajdany pistolet i natychmiast nasmarował na ten temat odpowiedni raport. Potem spytał zbrojmistrza o nazwisko żołnierza, do którego ten pistolet należał, i wpisał je do protokołu, wraz z wnioskiem o przykładne ukaranie niedbalstwa.

– Bardzo słusznie – wtrąciłem. – To chyba logiczne?

– Nie bardzo – Malik wyszczerzył zęby – bo to był jego pistolet.

– I co z tego wynika?

Zatrzymaliśmy się przy windzie i nacisnąłem guzik.

– Generał być może postępuje jak stuprocentowy świr, ale w tym szaleństwie jest jednak metoda – powiedział Malik, wchodząc do środka. – Więc jeżeli ci się u

nas podoba i planujesz zostać tu jeszcze kilka dni, powinieneś posłuchać mojej rady i obstukać ten kulomiot z błota.

Jechaliśmy chwilę w milczeniu, studiując uważnie plakat „pierwszej pomocy", na którym smutny playboy z otwartym złamaniem uda pokazany był w różnych fazach działania ekipy sanitarnej. Jakiś nieujawniony talent przerobił to na wyjątki z Kamasutry. Dwie odpowiednio podrasowane wamp-pielęgniarki pieściły wystający fragment kości udowej, a kierujący nimi stary doktor trzymał rękę na pulsie i podawał tempo. Niezła robota.

– Skąd wiesz o tym raporcie? – spytałem, wysiadając na drugim piętrze.

– Byłem wtedy zbrojmistrzem. – Malik błysnął zębami spomiędzy zasuwających się drzwi i pojechał wyżej.

Pokiwałem głową, przerzuciłem przez ramię ubłoconą giwerę i poszedłem do siebie. Do obiadu zostało jeszcze półtorej godziny – za mało, żeby się wyspać, za dużo, żeby nic nie robić. Zaproponowałem sobie prysznic i pełen wiary w przyszłość wlazłem do segmentu sanitarnego na końcu korytarza. W pierwszej kabinie trafiłem na urwane kurki, co mnie specjalnie nie zdziwiło, bo nad nimi kiwała się tabliczka z napisem: „Oszczędzaj wodę". W drugiej był tłok – na klamce ktoś powiesił krawat i biustonosz. W trzeciej znalazłem stertę odmiękających skarpet. Musiały tu leżeć już kilka dni, bo skamielinę pokrywała cienka warstwa zielonej pleśni, co się dość ładnie komponowało z pokrytymi rdzawym naciekiem kafelkami. Na ścianie dyndał smętnie kawałek lustra. Ciągle byłem jeszcze do siebie podobny, mimo tygodniowego zarostu. Pokrzepiony tym na duchu, zrezygnowałem z odnowy biologicznej, ograniczając się do opłukania rąk nad umywalką. Przy okazji opłukałem też buty, bo umywalka miała udoskonalony system odprowadzania ścieków, dający duże oszczędności w sektorze kolanek i rur odpływowych. Zwyczajnie ich nie było, a woda lała się bezpośrednio na podłogę, utrzymując ją w

nienagannej czystości – szczyt elegancji i prostoty. Pomyślałem, że świat jednak idzie naprzód, a tylko ja – wieczny cymbał i malkontent – nie nadążam za nowoczesnością.

No cóż, życie jest ciężkie, podobnie jak cała reszta…

***

– **P**rzestraszyłeś mnie, Ed.

– Wskakuj, mała, ale piorunem. Tu jest zakaz. Dokąd cię podwieźć?

– Do kliniki położniczej.

– A gdzie to jest?

– W Alei Desperados.

– Słuchaj, czy ty aby nie jesteś przewrażliwiona? Może po prostu najadłaś się czegoś i zwyczajnie cię wzdęło?

– Ty głupku, to już siódmy miesiąc.

– Jak ten czas leci.

– Nawet nie zadzwoniłeś.

– Nawet nie zadzwoniłem.

– I tak cię lubię. Chciałam ci podziękować, Ed. Sprawiłeś, że jestem szczęśliwa.

– No myślę.

– Boże, ale z ciebie idiota.

– Czy Richardson też mi będzie dziękować?

– On nic nie wie, Ed.

– Jak to? Nie wie, że jest bezpłodny?

– To była delikatna sprawa. Badano nas oboje, bo Robert strasznie chciał mieć dziecko, a minął już rok… No więc badano nas, a potem ten lekarz, taki siwy profesor o strasznie mądrych oczach, wszystko mi wytłumaczył. Powiedział, że Robert nic nie będzie wiedział, a cała reszta zależy tylko ode mnie.

– Rozumiem. Świetnie się czuję w roli rozpłodowca. Jakbyście kiedyś chcieli mieć jeszcze dziecko albo znajomi byli w kłopocie, to wiesz, gdzie mnie szukać.

– Gdybym cię tak dobrze nie znała, dostałbyś teraz w twarz. Ale ty się już nie zmienisz, i może właśnie dlatego…

– Sue, proszę cię, przestań. Masz tu chusteczkę. No daj spokój, mała. Nie płacz. Do ciężkiej cholery, nie rób mi tego.

– Prze…praszam, Ed, już… już więcej nie będę.

– Szkoda. Naprawdę szkoda.

***

Korytarz był pusty. To dobrze. Mogłem bez przeszkód rozwinąć maksymalną prędkość. Niedobrze, bo choćbym nie wiem jak pedałował, i tak miałem w plecy co najmniej kwadrans. A wszystko dlatego, że zachciało mi się posłuchać czegoś dobrego. Banjo pożyczył mi parę krążków, ale zapomniałem mu powiedzieć, żeby po mnie wstąpił, jak będzie szedł na obiad. Zresztą nigdy by mi nie przyszło do głowy, że zasnę przy B.B. Kingu. Niemotę oczywiście gdzieś wcięło – w ogóle nie pokazał się w pokoju. A może był, tylko nie chciał mnie budzić? Chyba mu jednak urwę ten kanciasty łeb.

Dopadłem do schodów i biorąc na raz po trzy, cztery stopnie, poleciłem diabłu duszę wesołka, który w ramach ogólnie pojętego protestu wysmarował wnętrze windy gównem. Świeża robota – nie szło wytrzymać. Sześć kondygnacji w górę na pełnym gazie to w końcu nie w kij dmuchał. Kiedy wreszcie wpadłem na poziom aprowizacyjny, nie myślałem już o obiedzie – bliższy był mi zespół reanimacyjny. Odbijając się barkiem od ściany, zrykoszetowałem w łącznik prowadzący do stołówki. Refleksja natury ogólnej brzmiała: białko żywe jest przyciągane przez białko martwe z siłą wprost proporcjonalną do intensywności uczucia głodu i odwrotnie do uczucia zawodu, pomnożonego przez współczynnik niekompetencji

kucharza. Smród przypalonej ściery ostudził mój zapał i tylko sile bezwładności zawdzięczałem fakt, że korpulentna sylwetka trepa dyżurnego zamieniła się w materac amortyzujący energię rozpędzonego ciała.

– Stój, hasło – wybełkotał.

Wstałem, pomogłem grubasowi pozbierać się do kupy i doprowadzić mundur do porządku.

– Dziękuję – mruknął i zrobiwszy krok do tyłu, wrzasnął: – Hasło!

– Daj spokój, Chiko – wysapałem pojednawczo. – Nie mam pojęcia, jaki dziś dzień tygodnia, a ty pytasz mnie o takie bzdury. Miej litość w sercu.

– Stój, bo strzelam!

– Przecież stoję. – Wzruszyłem ramionami. – Czy oni już są?

Potwierdził ruchem głowy i wyszarpnąwszy z kabury spluwę, rozkraczył się przede mną w pozycji „mam cię, ptaszku!”. Na wszelki wypadek uniosłem ręce nad głowę.

– Viktoria… Teodozja… – sondowałem ostrożnie.

Skrzywił się tylko i odbezpieczył broń.

– Ojczyzna… republika… – kontynuowałem wyliczankę.

Przymierzył w moje lewe oko. Zaczęło łzawić.

– Honor… sława…

Poruszył ustami. Nie załapałem. Powtórzył, dodając tym razem odrobinę dźwięku.

– Niech mu będzie „wolność” – zgodziłem się pospiesznie, gratulując sobie absolutnego słuchu. – Wolność to już jest jakaś koncepcja. I co ty na to, Chiko?

Schował giwerę, trzasnął obcasami i z uśmiechem zdobiącym pucołowatą gębę, wrzasnął:

– Hasło: wolność! Odzew: posłuszeństwo! Właź do środka, Emeric, i nie zapomnij przynieść mi swojej porcji dżemu.

Wlazłem do środka, tłumacząc sobie, że bez dżemu da się jakoś żyć. Czasami Chiko żądał połowy ziemniaków z sosem, a w skrajnych przypadkach, kiedy miał słaby utarg, potrafił skasować całe drugie danie. Można go było zrozumieć – utrzymanie stu trzydziestu kilogramów i dwóch spasionych jak wieprze pekińczyków nie było łatwe w tych ciężkich czasach. Miałem fart – widocznie paru gości spóźniło się dziś przede mną.

Przy bufecie, za którym królowała majestatyczna sylwetka złotowłosej Madonny, stała trzyosobowa kolejka. Przycumowałem na końcu i klepnąłem w garbaty grzbiet kiwającego się przede mną Textera.

– Ach, to ty. – Rozleniwionym spojrzeniem skontrolował źródło zakłócenia. – Chyba się spóźniłeś.

– Co w niczym nie zmienia… – zacząłem.

– Nie zmienia – przerwał mi słodkim głosem. Nuda ściekała mu po twarzy, oblepiała powieki i usta, krępowała ruchy. Zawsze go to brało, kiedy trzeźwiał.

– Jak sprawy? – spytałem dla podtrzymania konwersacji.

– Sahara – odpowiedział wyczerpująco.

– Masz dla mnie jakieś wiadomości?

Położył palec na ustach i czujnym wzrokiem obrzucił salę. Mieliśmy chyba komplet – dziesięć stolików obsadzonych wariatami najróżniejszej maści. Banjo pomachał mi ręką spod ściany, paru innych też kiwnęło łbami na dzień dobry. Sądząc po barwnych strojach, można ich było wziąć za pospolite ruszenie z pierwszej lepszej mordowni na przedmieściu. Malownicza gromadka. Konkretniej – banda kretynów godnych swego wodza. Mojego towarzystwa również.

– Przesuwajcie się, do kudzi madzi – zabulgotało mi za plecami. – Przesuwajcie się, ale już.

– Czołem, Pakero. – Uścisnąłem sękatą łapę przewyższającego mnie o głowę chudzielca. – Nie wiem, czy czytałeś najnowsze rozporządzenie kwatermistrza?

– Nie. – Wpatrując się pożądliwym wzrokiem w warującą nad kubłami Madonnę, oblizywał wargi i deptał mi po piętach. W brzuchu tak mu burczało, że stojące na ladzie w artyleryjskich łuskach sztućce wpadały w radosny rezonans. – Co mnie obchodzi jakieś tam, kudzia madź, rozporządzenie? Przecież i tak nie umiem czytać – mamrotał, waląc mnie pustą miską w ramię. – Posuwajcie się. Blokujecie bufet, a ja jestem głodny.

– No właśnie. – Uśmiechnąłem się ze współczuciem. – Jesteś głodny, bo odstąpiłeś porcję zaprzyjaźnionej rodzinie tasiemców. Gdybyś umiał czytać, dowiedziałbyś się, że kwatermistrz wstrzymał wydawanie dokładek. Musisz wciągnąć swój zwierzyniec na listę prowiantową, bo inaczej zdechniesz z wycieńczenia.

– Jestem głodny! – zawył, aż ludzie przy najbliższych stolikach odwrócili głowy w naszą stronę. – Chcę jeść! Muszę jeść! Przecież nie mogę nie jeść! Morderco, oddaj mi moje jedzenie! – Złapał mnie za koszulę i poderwał do góry.

– Dołóż mu, Pakero! – ryknął jakiś kibic z głębi sali.

– Trzy do dwóch na Emerica! – usłyszałem za plecami Textera. Jednocześnie poczułem, jak kołnierzyk zaciska mi się na szyi. Krzepki gość z tego głodomora. Bez trudu wywlókł mnie na środek sali i powalił na plecy. No i dobrze, tylko dlaczego się uparł, żeby mi rozbić głowę o posadzkę?

– Pięć do dwóch! – wrzeszczał tymczasem Texter. – Pięć do dwóch na Emerica! Płatne od ręki! – uwijał się jak w ukropie, nie zważając na ten drobny szczegół, że Pakero rzuca mną jak szmacianą kukłą. Kiedy wyrżnąłem barkiem o kant bufetu, uznałem to za mało dowcipne. W chwilę potem udało mi się przytrzymać drągala w zwarciu.

– Słuchaj, gnido… – zdążyłem wysapać, nim ciężka jak kafar pięść nie zamknęła mi ust. Spróbowałem kopnąć go w czułe miejsce, ale coś tam chyba

spaprałem, bo zdążył złapać mnie za nogę i szarpnąć stopę tak, że zawyłem i poleciałem na pysk.

– Siedem do dwóch! – usłyszałem jeszcze, zanim dziki słoń Bimbo nie skoczył mi na plecy i nie zaczął okładać trąbą. Zastanowiłem się, czy siedem do dwóch jest wystarczającym przebiciem za łomot, jaki zbierałem. Sądząc po twarzach rozgorączkowanej publiki otaczającej ciasnym kręgiem zaimprowizowaną arenę, widowisko było dobre. Może nawet za dobre, pomyślałem, lecąc swobodnie wraz z Pakero, który właśnie wykonywał klasyczny rzut przez poświęcenie.

– Rany boskie – wygulgotałem w momencie przyziemienia.

– Dopieprz mu! Teraz! Z kapcia gnoja! – padały ze wszystkich stron precyzyjne instrukcje.

Zebrałem się w sobie i zacisnąłem zęby na oplatającym mnie ramieniu. Poskutkowało. Usłyszałem żałosny skowyt za plecami i wykorzystując moment luzu, wbiłem łokieć w brzuch głodomora – najgłębiej jak mogłem. Po sali przetoczył się jęk zawodu. Skoczyłem na równe nogi, poderwałem Pakero z ziemi i walnąłem go z główki w nasadę nosa.

– Żebyś na przyszłość był ostrożniejszy – wyszeptałem mu do ucha, po czym łagodnym hakiem posłałem gościa w ramiona rozwrzeszczanej gawiedzi.

– Cholera – warknął Generał.

Texter już był przy nim.

– Należy się dwieście – podpowiedział. – Płatne gotówką.

Masując pięść, obserwowałem, jak nasz wielki wódz sięga po portfel i z kamienną twarzą wypłaca należność. Trzymał klasę – tego nie można mu było odmówić. Dobrze, że przyszedł, bo – sądząc po niewielkiej ilości zawiedzionych min – utarg mieliśmy całkiem średni. Stała obsada stołówki nie była już tak chętna do zasilania naszej kasy. Bądź co bądź powtarzaliśmy podobny numer trzeci raz w tym tygodniu – co prawda za każdym razem stosowaliśmy inny wariant, ale zyski i tak

wskazywały stałą tendencję zniżkową. A tu proszę – sam Generał, i w dodatku całe dwieście.

Powlokłem się do stolika, wspominając z każdym bolesnym stąpnięciem nadgorliwość Pakero. Trzeba chyba pomyśleć o zmianie obsady. Jeszcze jeden występ z tym szaleńcem i będzie można wykorzystać odłożoną kasę na zakup trumny. A działka na posadowienie nagrobka, a podatek gruntowy… Nie widziałem w tym żadnego interesu. Niech się inni martwią moim pochówkiem. W końcu nieboszczyk, mimo że jest głównym bohaterem imprezy, ma z niej najmniej korzyści – może z wyjątkiem świętego spokoju.

***

– Ed! Ed, zaczekaj!

– Co? Ach, to ty.

– Biegniesz, jakby cię goniło stado diabłów. Spieszysz się gdzieś?

– Nie, chyba nie. Po prostu wyszedłem ze studia, żeby nie popełnić morderstwa. Banda głuchych palantów.

– Masz kłopoty?

– Sam nie wiem. Czasami myślę, że mam świra, skoro tylu ludzi puka się w czoło na mój widok. Ale kiedy siadam wieczorem w domu i zaczynam grać…

– Słyszałam, Ed.

– Co słyszałaś?

– Byłam teraz w reżyserce.

– Tak? Nie widziałem cię.

– Ty w ogóle mało widzisz.

– Możliwe.

– Dlaczego się wściekasz?

– Nieważne. Co ty tu w ogóle robisz?

– Robert załatwia z LSC jakieś swoje sprawy, a ja pomyślałam, że może cię tu zobaczę, więc się z nim zabrałam. Słuchałam, jak nagrywaliście i…

– I co?

– Nie wiem, Ed. Nie rozumiałam tego, ale nie mogłam przestać słuchać, dopóki nie skończyliście. To było po prostu piękne.

– Piękne! Co to właściwie znaczy: piękne?! Pieprzenie w bambus!

– Boże, co się z tobą dzieje?

– Chodź stąd, nie stójmy na korytarzu. Jeszcze przyjdzie ten chłystek, którego nazywają moim producentem i zacznie znowu mędzić. Ze wszystkich dźwięków interesuje go tylko szelest banknotów o nominale powyżej setki. Niedorobiony sukinsyn. Wiesz, co on przed chwilą powiedział? Nazwał mnie przybłędą! Taki gówniany urzędas, tępy jak przecinak, głuchy jak pień! Z ledwością rozróżnia, czy grają, czy nie! Zwykła menda, pasożyt żyjący z mojej pracy!

– Jezus Maria, Ed, uspokój się, proszę… Siądźmy gdzieś, o, tutaj będzie wygodnie.

– Przestań mnie uspokajać! Chcę być wściekły! Nie potrzebuję, żeby mnie ktoś uspokajał!

– Potrzebujesz, Ed. Usiądź, proszę cię. Wyglądasz, jakbyś Bóg wie ile nie spał.

– Bóg nie wie, ja wiem. Pójdę zaraz do dyrekcji i wszystko im wygarnę.

– Nie bądź dzieckiem, Ed. Nie wygrasz.

– Mam przecież kontrakt.

– Oni tylko czekają na okazję, żeby go zerwać. I wolą, żebyś to ty dał im pretekst. Wtedy będą kryci. Przestałeś przynosić dochód, twoją ostatnią płytą zainteresowała się tylko garstka koneserów. Rozumiesz chyba, co to oznacza? A poza tym… Czy ty w ogóle nie czytasz gazet?

– Nie. A po co?

– Radio? Ti-vi?

– Nie mam czasu na pierdoły.

– Sytuacja międzynarodowa bardzo się skomplikowała. Terroryzm, kryzysy, zamieszki, zimna wojna i takie różne sprawy.

– A kogo to?

– Wszystkich, Ed. Wszystkich, z wyjątkiem ciebie. Do dzisiaj. Bo dzisiaj dowiedziałeś się, że jesteś przybłędą. I to jest, niestety, prawda.

– Więc co, mam wyleźć z siebie i stanąć obok? Zmienić skórę i udawać kogoś innego? Zdechnąć? Przecież to wszystko nie trzyma się kupy!

– Dlaczego na mnie krzyczysz, Ed? Ja też jestem przybłędą.

– Wyjątkowo dobrze ustawioną.

– Masz mi to za złe?

– Tobie? Nie. Sobie.

***

Malik kończył właśnie zupę. Na mój widok wyszczerzył tylko zęby i powrócił do siorbania. Natomiast Niemota straszył świat debilnym wyrazem twarzy, na której smutek malował się tak wyraziście, jak na pysku karpia opłakującego nadejście Wigilii. Zezowate ślepia zlustrowały w jednym momencie dwa przeciwległe kąty sali.

– Bo-oli cię? – stęknął ze współczuciem, a ja dałbym sobie rękę uciąć, że zadał to pytanie gościowi z sąsiedniego stolika. Na wszelki wypadek nie odpowiedziałem. Siadając, obserwowałem Generała, który, przybrawszy pozę obrażonego taty, tłumaczył coś Pakero. Też bym się obraził, gdybym przez takiego głupka popłynął na dwieście papierów.

– Twoja działka. – Texter pojawił się jak królik z kapelusza, podając mi pod blatem spory plik banknotów. Schowałem je do kieszeni.

– Co oni tam cudują? – spytałem.

– Generał wpakował naszego gladiatora na tydzień do garów, a ten mało mu się na szyję nie rzucił z radości.

– Nie pojemy – podsumował Malik, smarując kromkę masłem i ładując na to plaster mielonki gruby na dwa palce. – Nastanie siedem chudych dni, panowie. Ostatnia okazja, żeby się nawpieprzać.

Niemota przyniósł z bufetu moją porcję.

– Po-o co się bi-i-iłeś? – zapytał z trudem.

– Wkurzył mnie – wyjaśniłem.

– Aha. – Uspokojony, splótł wielkie jak łopaty dłonie i na tak utworzonej półce położył ten swój nieforemny łeb. – Jedz – dodał. – Do-obre.

Odstawiłem dżem i zabrałem się do żarcia. Strasznie fajny pomysł zabierać się do żarcia z poobijanym ryjem. Wie to każdy, kto miał choć raz poobijany ryj i zabierał się do żarcia. Reszta nie ma o tym bladego pojęcia.

Wychłeptałem zupę i zrobiłem sobie parę kanapek, kombinując, że zjem je trochę później, jak już mi odrobinę gęba wydobrzeje. Marzył mi się miły wieczór ze słuchawkami na uszach i szklaneczką rozcieńczonego Martini w ręku. Żadnych kumpli. Poza Niemotą, oczywiście, z którym dzieliłem klitkę zwaną szumnie kwaterą. Chyba że Generałowi znowu palma odbije i w ramach nieustającego alertu urządzi nam jakieś podchody. Noc jest wymarzoną porą na alarm – na przykład na różowy alarm z pełnym oporządzeniem i tak dalej. W tym towarzystwie człowiek nie może być pewny dnia ani godziny. Planujesz, powiedzmy, dynamiczne spotkanie z paniencją – na przykład z Rudą z trzeciego poziomu – wysyłasz Niemotę na wartę albo dajesz mu trochę bilonu, żeby sobie cymbał pograł na automatach i silny, zwarty, gotowy przymierzasz się do wybranej z katalogu pozycji, gdy nagle głośnik spod sufitu informuje cię, że należy porzucić płonne nadzieje i stanąć na posterunku. Tak, tak, my tu, tam wróg, wokół błyski, dym, kanonada i Generał biegający jak kot z

pęcherzem po wysuniętej rubieży. Chyba raczej nie nadaję się na harcerza. Siedzę tu już prawie miesiąc, a jeszcze nie zdobyłem żadnej sprawności.

Malik skończył jeść, o czym oznajmił solidnym beknięciem.

– Przepraszam – powiedział. Zawsze tak mówił. Twierdził, że na tym właśnie polega kultura. Na mówieniu.

– Słuchaj, Malik – zacząłem ostrożnie. – Jestem, jakby to rzec, z lekka kontuzjowany. Co byś powiedział na zwolnienie mnie z zajęć, dajmy na to, do końca tygodnia?

Popatrzył na mnie uważnie.

– Piękny to ty nigdy nie byłeś – mruknął – więc te parę siniaków wcale cię nie szpeci.

– Ale…

– Żadnego „ale" – skrócił mnie momentalnie. – Sanchez ma dzisiaj urodziny.

– Które? – zainteresował się Texter.

– Zapomniałem. – Malik wzruszył ramionami. – To jest zresztą najmniej ważne. Musimy stawić się w komplecie. Akcja ma bezwzględny priorytet i klauzulę najwyższej tajności.

– No właśnie. – Texter zarechotał. – Grunt to ten, jak mu tam, parytet. Pół dyni, znaczy, na wejście. I koszulę najwyższej jakości. – Przejechał palcem po karku, odlepiając kołnierzyk od ciała. – Będzie impreza jak się patrzy.

– Nie idę – oznajmiłem. – Nie mam ochoty.

– Trzeba to było matce powiedzieć, jak cię rodziła. – Malik błysnął białkami.

– Nie mam flaszki – prawie się ucieszyłem.

– Oczywiście, że masz – uziemił mnie Texter. – Wszyscy mamy. Tego, co przywieźliśmy dzisiaj z Kreciego Wzgórza, wystarczy na parę dni, trzeba tylko rozlać z kanistrów. To jest cywilizowany kraj, Emeric. Kto pracuje, ten pije.

– Nie mam koszuli – czepiłem się ostatniej deski ratunku.

– Ru… Ru-uu…uda ma twoją koszulę. – Niemota przejawiał ostatnio wybitne zdolności do pozbawiania mnie złudzeń. Powinienem go zostawić w szponach Grubego.

– No to jesteśmy umówieni. – Malik wstał z rumorem od stołu. – A do Rudej i tak powinieneś zajrzeć, żeby ci gębę opatrzyła. I nie zapomnij zabrać gitary – rzucił na odchodnym.

***

– Ed, co ty tu robisz?

– Spaceruję.

– Spacerujesz, siedząc na ławce?

– No pewnie. Przecież ławka stoi w parku. Nie można do niej dojechać metrem ani taksówką, więc żeby tu usiąść, musiałem najpierw przyspacerować. Usiądź obok, to sobie pospacerujemy razem.

– Masz dziś wolne?

– Coś ty. Za piętnaście minut zaczyna się mój ulubiony program na ósmym kanale. Taki jeden gość z naleśnikiem na głowie opowiada świetne dowcipy. Ludzie na sam jego widok wyją ze szczęścia. Słowo daję, powinnaś to zobaczyć.

– Takie śmieszne?

– Wcale. Ale ja od tygodnia nie robię nic innego. Wciąż tylko oglądam i oglądam. I spaceruję. Telewizja to potęga, a dobrze dotleniony organizm to podstawa sukcesu. Cholera, zmarnowałem pół życia, zanim do tego doszedłem. Objawienie typu naleśnik! Przecież to genialne w swej prostocie.

– Wygłupiasz się.

– Ja? Ja się wygłupiam? To co w takim razie robi ten gość w telewizji? Szuka grzybów?

– Co się z tobą dzieje?

– Jesteś nudna. Ciągle tylko pytasz, co się ze mną dzieje. Chcesz? Powiem ci. Przyszedłem zobaczyć własnego syna. I wcale mi nie przeszkadza, że nie wiem, jak ma na imię. Tylko błagam, nie mów jego matce, że mnie tu widziałaś. Nie chciałbym jej sprawiać kłopotów. Ma takiego miłego męża…

– Dość!

– Też to sobie powiedziałem. Dokładnie tydzień temu to powiedziałem. Połamałem klawiaturę, podziurawiłem bębny, resztkami gitary napaliłem w piecu, chociaż jest lato i musiałem otworzyć okno, żeby się nie ugotować.

– Boże, Ed, co ty…

– To bardzo ładny dzieciak, Sue. Nigdy nie myślałem, że będzie taki fajny. Cholera, wszystko się tak idiotycznie ułożyło…

– Musisz… musisz przestać o tym myśleć, Ed.

– Doprawdy?

– Musisz wziąć się w garść.

– Co ty nie powiesz?

– Musisz wrócić do studia.

– Jasne. Dlaczego mi sprzedajesz takie bzdury?

– To przecież nie ja, Ed. To życie.

***

Zrobiłem swoje i wyplątawszy się z nóg paniencji, znalazłem kawałek wolnej przestrzeni, na której zaległem. Oczy miałem zamknięte. Wypracowany odruch – lata pracy w zawodzie samca. W zawodzie miłosnym. Tak jest lepiej. W oczach można przecież wyczytać prawdę, a ta mogłaby mnie postawić w nieciekawej sytuacji. Nie należało rozwalać korzystnego układu. Za kilka dni moje hormony przekroczą barierę bezpieczeństwa i znowu poczuję się samotny. Cholerna biologia, pieprzona dwupłciowość… A niech to wszyscy diabli!

Po omacku odnalazłem papierosy i wsadziwszy do pyska kiepa, zaciągnąłem się chciwie dymem. Pomogło. Zawsze pomaga. Teraz mogłem spokojnie oczekiwać na tak zwane zakończenie ceremonii. Uwaga, już podjeżdża. Poczułem, jak głowa Rudej mości mi się lekko na piersi, a cała reszta przywiera szczelnie do boku. Z włosami zawsze jest ten sam problem. Przeciągnąłem po nich dłonią, oczywiście delikatnie, bo przecież cham nie jestem i nie mam zwyczaju tłuc świeżo wykorzystanej laski po łbie tylko dlatego, że kawałek jej fryzury włazi mi do nosa. Potraktowała to jako pieszczotę – sam bym się pomylił, gdybym nie wiedział – i przylgnęła jeszcze mocniej.

– O czym myślisz?

No właśnie, o czym to ja myślę? Chyba o niczym. Ale czy to wypada? Nie sądzę. A już na pewno nie wolno się do tego przyznawać. O niczym? Dajcie spokój, też mi temat!

– Złotko… – zamruczała jak niedopieszczona kotka.

Trzeba szybko coś wykombinować albo zdecydować się na powtórkę. No dalej… Przecież nie powiem jej, że wszystkie laski powinny mieć wmontowany wyłącznik. No, może nie wszystkie, ale większość. Pobaraszkujesz, człowieku, pogimnastykujesz się i pstryk – po imprezie. Żadnych kłopotów, pytań, dyskusji… Koła do góry i niczym nie zmącona cisza umysłu. Marzenie ściętej głowy.

Rozejrzałem się po pokoju, a raczej niewielkiej klitce, przypominającej z grubsza „gniazdko”, które dzieliłem z Niemotą. Z grubsza, bo tutaj panował wprost nienaganny porządek, oświetlony nastrojowym blaskiem świecy. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak one to robią. Parę duperelek, zasłonka, jakiś obrazek i wszystko jest jak trzeba. Najwyraźniej ten gatunek człowieka posiadał tajemnicze zdolności, które przekraczały mój horyzont pojmowania.

– Złociutki… – Zamiotła mi włosami po twarzy. – Jesteś tu jeszcze?

– Jasne – odpowiedziałem, całując ją czule w ucho. – Która godzina?

– A co, myślisz, że może będą tam czekać o suchym pysku, aż raczymy przyjść i przeciąć wstęgę?

– Chodzi o Madonnę – mruknąłem. – Trochę mnie ostatnio poniosło i podobno nieźle ją obsztorcowałem. Głupia sprawa, nie? W końcu to także jej pokój.

– Byłeś nabuzowany jak rakieta, więc nie ponosisz żadnej odpowiedzialności – uspokoiła mnie Ruda. – Pomroczność jasna, kapujesz? – Przypalając papierosa, oświetliła swoją kanciastą, niemal męską twarz. Gdybym nie miał stuprocentowej pewności, że jest kobietą…

– Świetnie wyglądasz – skłamałem.

– Nie chrzań, złotko. Daj buzi, tylko uważaj na plastry. I klepnij mnie w tyłek. Muszę wypłukać z siebie całą twoją inwazję.

– Powodzenia, chłopcy i dziewczęta – powiedziałem do gromady nienarodzonego potomstwa.

– A gdyby ciebie ktoś tak kiedyś potraktował? – spytała, idąc pod prysznic. Miały z Madonną własny prysznic. Przywilej weteranów z trzeciego piętra.

– To bym popłynął. – Wzruszyłem ramionami. – Co innego niby mógłbym zrobić? Miałem fart, ty zresztą też. Każdy, kto się urodził, jest zwycięzcą wielkiego wyścigu, a właściwie wielkiej plemnikowej loterii, bo nie wystarczy być najlepszym w swojej drużynie, trzeba jeszcze trafić w odpowiednie miejsce i czas. Jeden za wszystkich, reszta do piachu. No i chwała zwyciężonym, oczywiście.

– Ja miałam fart, że spotkałam Generała – stwierdziła Ruda i szurnęła zasłonką prysznica.

Być może była to prawda. Każdy z mieszkańców tego bunkra znalazłby pewnie wiele powodów, żeby dziękować Losowi za szaleństwo naszego umundurowanego proroka. Ruda nigdy nie opowiadała, ja nigdy nie pytałem. Po co? Nawet jeśli usłyszałbym prawdę, czy zmieniłoby to w jakikolwiek sposób moje życie? Czy

zmieniłoby życie tej dziewczyny i kilkudziesięciu podobnych do nas istot? Faktycznie, sami zwycięzcy. Można pęknąć ze śmiechu.

Pstryknąłem pilotem w stronę małego telewizorka na półce i zacząłem się ubierać. Trochę trwało, zanim skompletowałem wszystkie elementy garderoby. Na drzwiach skrzypiącej niemiłosiernie szafy znalazłem swoją koszulę – wypraną i odprasowaną niczym na galowy koncert. Miła babka z tej pielęgniarki.

– Jak donosi nasz specjalny korespondent… – Nazwa rodzinnego miasta sprawiła, że zwróciłem uwagę na ulizanego mydłka odczytującego bieżące informacje. – Wciąż trwają rozmowy na najwyższym szczeblu. Główny negocjator podkreśla niezwykle sztywne stanowisko drugiej strony. Jednocześnie nieprzyjacielska flota koncentruje siły w rejonie…

– Znowu się wygłupiają? – Ruda wyszła spod prysznica i otulona grubym szlafrokiem, zaczęła szukać czegoś na półkach.

– Nie ma obawy – przygarnąłem ją ramieniem. – W razie ataku powiem im, że jesteś ze mną. Dostaniemy przydziałową kostkę razowca i miejsce przy koksowniku, a potem będziemy żyli krótko i nieszczęśliwie.

– Nic z tego, złotko. – Potrząsnęła głową, mocząc mnie przy tym od stóp do głów. – Generał nie podda się bez walki. Stawimy bohaterski opór w obronie cywilizacji, postępu i tradycyjnych wartości. Wiesz, jak on nazywa ten swój bunkier? Nowe Termopile.

Na ekranie miejsce ulizanego mydłka zajęły fragmenty jakichś instalacji wojskowych, pomiędzy którymi kilku umundurowanych szamanów odprawiało tajemnicze hokus-pokus.

– Tam, zdaje się, nikt nie przeżył.

– Gdzie, złociutki? W telewizorku?

– W Starych Termopilach

– Przeżyli Persowie.

– No to mam przynajmniej jakieś szanse.

– Najmniejszych. – Wycelowała we mnie suszarkę do włosów. – Zdradza cię akcent. Zostaniesz zdekonspirowany, uduszony, wypatroszony i przerobiony na bimber, zanim hufce wroga sforsują bramy bunkra.

– Tylko nie zapomnij stawić się na degustacji. Byłbym niepocieszony, gdyby ciebie zabrakło.

– Kogoś jeszcze zaprosisz, skarbuniu? – Ruda zastosowała taktykę frontalnego ataku, spychając mnie na tapczan. – Chciałabym wiedzieć, w co mam się ubrać.

– Czyżbyś była zazdrosna? – stęknąłem, przygnieciony nadmiarem szczęścia.

– Każda z nas jest zawsze trochę zazdrosna.

Ratunek nadszedł z zewnątrz w postaci donośnego chrobotu klucza w zamku. Przez szparę w drzwiach wtargnęły najpierw dwa spasione pekińczyki, którym tusza wcale nie przeszkodziła wskoczyć na tapczan, po nich złotowłosa Madonna, by wreszcie ramy wejścia wypełniły się szczelnie opływową sylwetką Chiko.

– Jak tam, Emeric, pamiętasz jeszcze hasło? – zarechotał.

– Ja ci dam hasło, spaślaku! – wystartowała z furią Ruda. – Złamałaś umowę! – Dźgnęła Madonnę palcem wskazującym w pierś. – Co się stało, do cholery? – Nagle oklapła jak przekłuty balon. – Znowu jakiś pieprzony alarm?

– Misja specjalna. – Chiko zagwizdał na pekińczyki, które jak na musztrze podbiegły w jego stronę i usiadły niczym dwa rozczochrane posążki Buddy: każdy na jednym bucie właściciela. Były identyczne, różniły się tylko wplecionymi w kudły wstążeczkami. Chiko też był identyczny, chociaż większy i bez wstążeczki.

– Rozkaz z samej góry, Emeric – powiedział, kipiąc z radości. – Zbieraj tyłek, idziemy do Generała.

– Teraz? – Rozłożyłem bezradnie ręce. – Przecież Sanchez…

– W razie oporu doprowadzę cię siłą – obiecał Chiko, kładąc dłoń na kaburze. – Hasło: wolność, odzew: posłuszeństwo. – Pekińczyki zgodnie zamerdały ogonami. – Nie dyskutować.

Nie wiedziałem, czy tę ostatnią kwestię skierował do mnie, czy do swojego inwentarza.

– Sama widzisz, kochana. – Madonna wzruszyła ramionami. – Misja specjalna i tyle. Jak już im coś przyjdzie do głowy…

– To tylko wrzucić do kibla i spuścić wodę – dokończyła za nią Ruda i obie usiadły na drugim tapczanie, spoglądając na nas z politowaniem.

Mieliśmy przechlapane.

***

– **T**ak, słucham.

– Cześć, Ed. Fajnie, że jesteś.

– Dozorca też to powiedział, kiedy wróciłem rano do domu. Wręczył mi mały niebieski karteluszek i kazał pokwitować odbiór w takim dużym kajecie, który zaraz potem schował do szuflady i zamknął na klucz. To był patentowy klucz, Sue. Jestem z siebie dumny.

– Nie rozumiem…

– To przecież proste. Posłuchaj. Jeżeli mój podpis zamyka się na klucz, porządny patentowy klucz, a nie jakiś tam zwykły wihajster, który można oszukać zgiętym gwoździem, to chyba sama rozumiesz, że nie jestem już byle kim, tylko kimś, i to w dodatku przez duże „k”.

– Wygłupiasz się, jak zwykle zresztą. Co to za kartka?

– Wezwanie. Zwykłe wezwanie. Miejski Urząd Bezpieczeństwa albo jakoś podobnie. Pewnie chcą spytać, czy mi sąsiedzi nie dokuczają.

– Pójdziesz, Ed? Nie zadzieraj z nimi, to bez sensu. Daj słowo, że pójdziesz.

– Bardzo chętnie, ale wezwanie jest na wczoraj.

– O Boże. Musisz tam pójść jutro rano i wszystko wytłumaczyć.

– Co ja mam im tłumaczyć? Przecież to jest wolny kraj, tak przynajmniej słyszałem. Poza tym skończyła mi się wiza i muszę ją najpierw przedłużyć.

– No właśnie.

– Daj spokój, Sue. Wszystko jest w porządku, poradzę sobie. Wezmę kopię kontraktu i po kłopocie. Ma jeszcze pół roku ważności.

– Tylko co potem, Ed?

– Spokojna głowa. Kończę nowy krążek. Same hity. Nawet mój głuchy producent jest zadowolony, więc chyba przedłuży umowę na następne trzy lata. A co, martwisz się?

– Widzisz, czasami po prostu chodzę po domu i nie wiem, co ze sobą zrobić. I zawsze kończy się to jakoś tak, że staję przy telefonie i dzwonię. Często cię nie ma, ale mogę przecież zadzwonić później, albo na drugi dzień… Rozumiesz to, Ed? To mi pomaga.

– Mi pomaga aspiryna.

– To, że tak mówisz, też mi pomaga. Dlatego musisz pójść do tego urzędu i spokojnie wysłuchać, o co im chodzi. Pamiętaj, spokojnie, bez żadnej zgrywy.

– Jasne, masz rację. Zawsze miałaś rację.

– Pewnie zaraziłam się tym od ciebie.

***

Wezwanie z samej góry sprowadziło nas na najniższy poziom bunkra. Generał, jak każdy rozumiejący powagę sytuacji przywódca, dbał przede wszystkim o własne bezpieczeństwo, dekując się na dnie wielopiętrowej budowli. On przecież musiał przetrwać – tego po prostu wymagała dziejowa konieczność.

Wejścia do apartamentu wodza strzegł Malik. Siedział sobie w kącie za biurkiem zawalonym stosami formularzy, żuł gumę i strzegł. Wyglądał, jakby całe życie nie robił nic innego. Odprawił Chiko razem z eskortą pekińczyków, wskazał mi krzesło pod ścianą i nawiązał łączność z kwaterą główną. Obite skórą drzwi otworzyły się z trzaskiem.

– Co tam znowu, sierżancie? – Generał mówił piskliwym dyszkantem; zawsze mnie to zaskakiwało, chociaż słyszałem go już tyle razy. – No dobra, dawajcie tu tego żołnierza.

– Baczność!!! – usłyszałem za plecami ryk startującego odrzutowca. – Oficer na pokładzie!!!

Malik miał płuca nie od parady.

Nasz wódz zlustrował mnie przenikliwym spojrzeniem, w czasie gdy próbowałem złapać postawę zasadniczą. Chyba mi się udało, bo pokiwał z aprobatą głową osadzoną na chudej, ciut przydługiej szyi.

– Spocznij. – Strzepnął sobie z klapy munduru niewidoczny pyłek.

W otwartych drzwiach generalskiego apartamentu pojawił się kot – taki zwykły, szary dachowiec, jakich pełno myszkuje po śmietnikach. Ocierając się wygiętym grzbietem o futrynę, zamiauczał prosząco. Wódz podniósł z biurka jeden z formularzy, zgniótł energicznie w kulkę i rzucił na podłogę. Na jego szczupłej, niemal ascetycznej twarzy pojawił się chłopięcy uśmiech.

– Więc znacie ido, żołnierzu? – Błyskawicznie przerzucił uwagę na moją osobę.

– Od urodzenia, Generale – odpowiedziałem. – Jestem stamtąd.

– Tak, tak, wiemy. – Spacerował teraz tam i z powrotem z rękami założonymi za plecy; zawieszone na piersi medale pobrzękiwały przy każdym nawrocie. – Sierżant zreferował nam całą sprawę i zaręczył za was słowem.

– Tak jest – szczeknął Malik, błądząc wzrokiem po suficie.

– To, że jesteście stamtąd, Emeric, nie ma najmniejszego znaczenia. Nie chodzi tu bynajmniej o partykularny interes jakiejś nacji czy nawet rasy. Gra toczy się o całość, o ludzkość jako gatunek. A przecież jesteście człowiekiem.

Zamurowało mnie. Prawdę mówiąc, nigdy się nad tym dokładniej nie zastanawiałem.

– Na obecnym etapie rozwoju cywilizacyjnego jeden głupi konflikt może spowodować utratę całego dotychczasowego dorobku – kontynuował Generał, nie przerywając spaceru. – Naszym celem jest uniknięcie regresu i przechowanie maksymalnie dużej części wspólnego dziedzictwa, a następnie przekazanie jej tym, którzy ocaleją z pogromu.

– A jeżeli nic się nie stanie? – pozwoliłem sobie na uwagę mimo ostrzegawczych gestów Malika. – W końcu nie jest jeszcze tak tragicznie. Może to zwykła dyplomatyczna przepychanka. Ciągle coś się dzieje, jak nie tu, to gdzie indziej…

Generał przewiercił mnie na wylot ponurym spojrzeniem.

– Znacie prawo Murphy'ego, Emeric? – spytał.

Nie znałem.

– Jeżeli coś może się spieprzyć, spieprzy się. Zapamiętajcie sobie, żołnierzu. Jak nie tu, to gdzie indziej, jak nie teraz, to za sto, dwieście, tysiąc lat. Musimy być przygotowani na najgorsze. Na tym właśnie polega nasza misja.

Zazdrościłem mu jego pasji. Znalazł w życiu cel, któremu z radością poświęcał wszystkie siły i niemałe przecież środki. W coś wierzył. Szczęśliwy wariat – on po prostu nie miał wątpliwości!

– Liczymy na was, Emeric. – Generał złapał kota mordującego pod naszymi nogami papierową kulkę i wziął go na ręce. – Możecie przejść do szczegółów, sierżancie – zwrócił się do Malika. – Jutro będę oczekiwał raportu w tej sprawie.

Zrobiłem odruchowo „baczność” i odprowadziłem go wzrokiem do drzwi. Chudy, nieco zgarbiony, wyrośnięty dzieciak, bawiący się kotem i kartonem plastikowych żołnierzyków z prawdziwymi życiorysami. Manewry, defilady, ordery i te wszystkie męskie sprawy…

– A tak przy okazji, Emeric. – Już w progu obejrzał się przez ramię. – Świetna walka, naprawdę świetna. Ten wasz kończący hak to prawdziwe mistrzostwo. Postawiłem na Pakero, ale warto było przegrać, żeby coś takiego zobaczyć. Moje gratulacje.

– Dziękuję, Generale – wydukałem z opóźnieniem, zapatrzony w obite skórą drzwi.

Poczułem na ramieniu ciężką łapę Malika.

– Twój dzisiejszy wyczyn zrobił spore wrażenie – usłyszałem za plecami kpiący głos. – Niedługo doczekasz się fanklubu. Może warto pomyśleć o zmianie profesji? W końcu nie to jest ważne, co się nam podoba, ale to, co przynosi wymierne korzyści. Jako muzyk nie zrobisz tu wielkiej kariery…

Strąciłem jego rękę i stanąłem twarzą w twarz z kupą czarnej ignorancji. Przez sekundę byłem stuprocentowym rasistą, ale zaraz potem przypomniałem sobie, skąd wziął się jazz i kto mi uratował tyłek przed tajniakami z urzędu imigracyjnego.

– Co to za misja specjalna? – spytałem.

– Takie tam duperele – wyszczerzył się Malik. – Prowadzimy nasłuch na wojskowych częstotliwościach i ostatnio zanotowaliśmy spore ożywienie w eterze. Większość transmisji jest oczywiście zaszyfrowana, ale mamy parę sposobów, potrzebujemy tylko tłumacza. Chodź, pokażę ci. – Pociągnął mnie w głąb korytarza.

Podwójne, niemiłosiernie skrzypiące drzwi wpuściły nas do olbrzymiej graciarni pełnej starych mebli, elektronicznego złomu, kurzu i pajęczyn. Tuż przy wejściu stał wielki pulpit, na którym porozstawiano kilkanaście monitorów, wzmacniaczy, stary

szpulowy magnetofon, a także niedojedzone drugie danie sprzed paru dni. Całość tonęła w plątaninie kabli, stosach układów scalonych i pudłach z dyskietkami.

– Niezła rupieciarnia – mruknąłem. – I co ja mam z tym wszystkim zrobić?

– Możesz posprzątać. – Malik był dzisiaj najwyraźniej w doskonałym humorze.

– A tak poważnie?

– Poważnie to kura w majtkach wygląda – potwierdził moją diagnozę. – Zaczynasz służbę jutro o ósmej rano.

Nie zadawałem więcej pytań. Cokolwiek bym nie usłyszał, nie miałem wielkiego wyboru – należało przetrwać następny dzień, tydzień, może nawet miesiąc. W końcu co za różnica, czy będę w ramach manewrów spacerował po okolicznych bimbrowniach, czy dla odmiany pozwiedzam podziemia generalskiego bunkra?

Skoro już siedzę po uszy w tym bagnie…

A miało być tak pięknie!

***

– **C**ieszę się, że przyjechałeś tu z nami.

– Nie byłem na rybach… O rany, Sue, ile to już?

– Nawet nie pytaj. Ładnie tu, prawda?

– Mowa. Tam, gdzie nie ma ludzi, zawsze jest ładnie. Pieprzone sapiensy. Wzięły globus, wyrysowały na nim tuszem jakieś bzdurne kreskówki i wmawiają sobie, że to jest najważniejsza rzecz na świecie. Nie góry, lasy, rzeki, morza, tylko te nadęte kreski, szlabany, traktaty z waty i tym podobne pierdoły. A wszystko dlatego, że gdzieś tam, wysoko, kilku panów z korpusu dyplomatycznego postanowiło dla dobra historii i rozładowania własnych stresów zrealizować parę odkrywczych koncepcji z gatunku: „dawnośmy nie mieszali”. Można by pęknąć ze śmiechu, ale nie wolno, bo to się nazywa racja stanu, a stan ma zawsze rację i jak go obśmiejesz, to cię uziemi.

– Znowu jakieś kłopoty?

– Założyli mi podsłuch na telefon, a potem wezwali i pytają, dlaczego mówię w ido. Ja do nich, czemu zawdzięczam taką troskliwość i czy nie mają tłumaczy, a oni na to, że gitara to też karabin, tylko inaczej skonstruowany. Tak, tak, też się uśmiałem, ale potem wyszło szydło z worka. Miesiąc wcześniej przyszedł do mnie do chaty taki jeden obdartus. Okazało się, że rodak, niestety. Co ten nie wyrabiał! Błagał, szlochał, zaklinał, groził, powoływał się – cały cyrk. Dałem mu stówę i zapomniałem o wszystkim. A ten cymbał, wyobraź sobie, zrobił zadymę w najbliższym barze i go zwinęli. Przyznał, skąd miał pieniądze i tak zostałem szefem siatki szpiegowskiej. Wyszedłem na drugi dzień, ale narobili mi kupę gnoju, dzwoniąc po całym kraju. Wybitni specjaliści od reklamy.

– Przedłużyłeś kontrakt z LSC?

– Jeszcze nie, i w tym tkwi cały problem. Ci z góry strasznie się teraz motają.

– Przecież twoja ostatnia płyta jest w pierwszej dziesiątce?

– To idź i im to powiedz, mi się już znudziło. Proponowałem nawet, że zrobię nowy krążek na własny koszt, ale dostali takich oczu, jakbym ich namawiał na orgię. Teoretycznie wszystko gra, ale instrumenty są rozstrojone, a muzykanci głuchawi. Wszyscy pogłupieli.

– Może powinieneś o tym porozmawiać z Robertem?

– O, co to, to nie. Sam sobie poradzę.

– Czasami naprawdę nie mogę cię zrozumieć. Czy to źle, że ktoś chce ci pomóc? Robert zna wielu ludzi z branży. Na pewno znalazłby coś dla ciebie. Może nie zaraz płytowy kontrakt, ale po prostu legalna trasa, żebyś miał podkładkę, jak się znowu zaczną czepiać.

– Tu stempel, tam zaświadczenie, licencja na oddychanie, zezwolenie na nie powiem co, podkładki, szmatki, papierowa cywilizacja. Rzygać się chce.

– Chryste, czy ty naprawdę musisz ze wszystkiego robić problem? Gdybyś chciał, już dawno mógłbyś uzyskać obywatelstwo i nie byłoby o czym mówić. Jesteś tu tyle lat… Można to było sto razy załatwić i zapomnieć.

– Tak myślisz? Widziałaś te kolejki, ten tłum przestraszonych, żebrzących o stempel ludzi, tych urzędników rozdętych własną potęgą, patrzących na ciebie jak na pałętający się pod nogami śmieć, mających ci za złe, że żyjesz? Jakby to była moja wina, że pochodzę z kraju, w którym buty są towarem luksusowym, a uśmiechnięty człowiek na ulicy od razu musi być podejrzany.

– Przecież można to zrobić zupełnie inaczej. Robert…

– Nie, nie chcę. Robert to fajny gość i nic do niego nie mam, nawet zna się na rybach… Głupia sprawa, Sue, ale on jest ojcem mojego syna i to wszystko jest takie bezsensowne. Właściwie nie powinienem był tu z wami przyjeżdżać.

– Ed… Pocałuj mnie, Ed.

– Dziewczyno, masz pojęcie, co się porobiło? Ogarniasz to jeszcze? Bo ja momentami tracę wątek. Wtedy idę się urżnąć, a potem, zanim otworzę oczy, próbuję zgadnąć, czy ona jest czarna, czy biała, a może dla odmiany żółta.

– Dlaczego mi o tym mówisz, Ed? To… to boli.

– A myślisz, że mnie nie boli, jak na was patrzę? Musiałbym być z drewna.

– Wiem, że nie jesteś z drewna, Ed, ale tu się już nic nie da zrobić. Nie mogę tego zmienić. Za późno. On by nie zniósł prawdy.

– A ja muszę?

– Dla dobra swojego syna, Ed. Naszego syna.

***

Świetlicę obficie udekorowano girlandami z papieru toaletowego, co w połączeniu z dyskretnym kolorowym oświetleniem i sączącą się z głośników muzyką robiło całkiem sympatyczne wrażenie. Załoga nie marnowała czasu i trudno było mieć o to

pretensje – w końcu życie jest zjawiskiem tak ulotnym, że postulat efektywnego wykorzystania każdej wydartej nicości sekundy wydaje się w pełni uzasadniony. Chcąc nadrobić zaległości, pomaszerowaliśmy z Malikiem prosto do barku, to znaczy do kąta, w którym nasz drogi Texter rozlewał do szklanek zawartość kolejnego kanistra. Przysiedliśmy na taboretach w oczekiwaniu na karniaka.

– Uwielbiam takie imprezy – mruknąłem, rejestrując wzrokiem kilkanaście postaci plączących się malowniczo w kłębach papieru toaletowego i papierosowego dymu. – Człowiek sobie wypije, potańczy, pogada ze znajomymi o pierdołach…

– To się nazywa podtrzymywanie więzi – wyjaśnił mi Malik z pobłażliwym uśmiechem. – Elementarne zachowania społeczne. To właśnie one pozwoliły nam się wspiąć na najwyższy szczebel drabiny ewolucyjnej.

– Małpy też by piły, gdyby umiały pędzić – wtrącił Texter z przekonaniem.

– Wygląda na to, że jeśli chcemy pozostać na szczycie, nie mamy wielkiego wyboru – zgodziłem się, przygnieciony tak rzeczową argumentacją. – Od czego dziś zaczniemy?

– Taczanka z lodem – zadysponował Malik.

– I odrobiną soku cytrynowego – wyraziłem życzenie.

– A ty tu co, Emeric, pogięło cię? – Texter nie posiadał się ze zdumienia. – Skąd ja ci, do ciężkiej cholery, wezmę sok? Pij jak leci, człowieku, i nie ściemniaj.

Wypiłem. W końcu co za różnica – z sokiem, czy bez? Najważniejsze, żeby działało. Wstrząsnęło mną potężnie, ale już po sekundzie złapałem odrobinę powietrza.

– No to na drugą… – zakrzątnął się Texter.

Był w końcu ekspertem od spraw integracji, więc nie protestowałem. Przy kolejnej wdałem się jednak w dyskusję, że przecież nie jestem jakimś tam pieprzonym kosmitą z trzema mackami zamiast pary krzywych, solidnie owłosionych giczołów, ale właśnie wtedy do sali wjechał Sanchez ze swoim cyrkiem jednośladów.

Trzeba było spełnić toast, co w połączeniu z rykiem zdezelowanych silników i kłębami spalin zdecydowanie poprawiło atmosferę. Życzenia, całuski i obowiązkowo cała kupa wrzasków. Nawet nie wiem, kiedy znalazłem się w objęciach wytatuowanego dryblasa, którego widok w ciemnej uliczce najprawdopodobniej przyprawiłby mnie o zawał. W sumie miły był z niego chłopak, nieszkodliwie zakręcony na punkcie ciężkich motocykli. Wycałowałem nieogolony pysk, życząc spełnienia marzeń; mam taki dyżurny tekst na podobne okazje. Marzenia Sancheza były zresztą zmaterializowane u jego ramienia – Princessa odziana w jednoczęściowy skórzany kostium motocyklowego balastu prezentowała się nad wyraz aerodynamicznie, z falą kruczoczarnych włosów i trzepoczącymi rzęsami. Patrząc na nią, można było mieć stuprocentową pewność, że gatunek homo sapiens wyprodukuje jeszcze przynajmniej jedno pokolenie. Może faktycznie Generał ma trochę racji i warto zatroszczyć się o przechowanie maksymalnie dużej części wspólnego dorobku dla następnych generacji? Przecież tatuaże i skłonność do jednośladów nie są dziedziczne. Poza tym jeśli zmontują dziewczynkę, mój własny syn będzie miał swoją małą Princeskę do schrupania. Niech sobie chłopak pobryka. Wszystkiego najlepszego i spełnienia marzeń!

– No i proszę, jak miło! – Niezawodny Texter z wprawą uzupełnił mi drinka. – Całkiem miły z ciebie gość, Emeric, kiedy już się trochę rozkręcisz.

Otóż to – byle się dobrze rozkręcić. Wątroba wprawdzie miała na ten temat własne zdanie, ale kto by tam słuchał wątroby? Każdy dureń ma swój rozum.

– Fakt posiadania mózgu przez człowieka do niczego nie zobowiązuje – stwierdziłem z powagą. – Czy kangur z powodu torby musi być listonoszem?

– Kangur powinien być przede wszystkim kangurem – poparł mnie Texter. – Co robi w czasie wolnym, to jego prywatna sprawa, ale w pracy nie ma dyskusji.

Na stole pojawił się torcik z całą masą lukrowanych świec samochodowych, które zostały przez Sancheza zdmuchnięte przy owacyjnym dopingu i z niewielką

pomocą jego rockersów. Aż dziw, że od ich oddechu nie spłonęły dekoracje. Zaraz potem obsługujący konsolę Banjo wycisnął z potencjometrów ostatnie rezerwy mocy i z głośników walnęło jeszcze potężniejsze potupango, sprzężone z rytmicznym pulsowaniem stroboskopowych świateł. Poszukałem wzrokiem Niemoty. Był tam, gdzie przypuszczałem – wielki, kanciasty łeb podrygujący na środku parkietu. Miał talent do tej roboty. Wokół niego powoli zamykał się pulsujący krąg wtajemniczonych.

– Nie tańczysz, Emeric? – Fala kosmetycznych aromatów zapowiedziała materializację Grubego. – Wieczór bez rwania to stracona noc, chłopie. Nie uczyli was tego w szkole?

– Byłem chorowity i sporo opuściłem. – Wzruszyłem ramionami, obserwując go z niekłamanym podziwem. – Żadna ci się nie oprze. – Wyglądał jak zdjęty z okładki najmodniejszego magazynu; w dodatku ten uwodzicielski błysk w oku…

– Może poza Princessą. – Texter zarechotał. – Mam nieodparte wrażenie, że wycięła ci właśnie jakiś numer.

– Daj mi lepiej coś do picia, skoro już sterczysz za tym barem – powiedział Gruby z niezmąconym spokojem, zamykając nas w swojej strefie luksusu i samozadowolenia. – Odstąpiłem ją Sanchezowi na parę dni, w ramach prezentu urodzinowego. – Stuknął brzegiem szklanki o mojego drinka. – Zdrowie solenizanta.

No tak, zdrowie. Rany, co za mordęga!

– Trzecia noga byłaby może całkiem do rzeczy – pomyślałem, czepiając się girlandy z papieru toaletowego.

– Jak ja cię lubię, Emeric. – Malik zaistniał nie wiadomo skąd, złapał mnie za ramię i odholował w sobie tylko wiadomym kierunku. – Będę o tobie pamiętał przy wszystkich składkowych imprezach. Taki małolitrażowy model to prawdziwy skarb.

Zachłysnąłem się świeżym powietrzem. Paskudny, łysy czarnuch, zamiast zawlec zdobycz do rodzinnej wioski w głębi dżungli i przyrządzić na kolację, wyprowadził mnie na taras i usadowił w wyplatanym fotelu.

– Wcale ci nie jestem wdzięczny. – Chłodny wiatr sprawił, że myślałem teraz nad podziw jasno i precyzyjnie. – Nie zjadłeś mnie, bo planujesz przez resztę życia wypijać mój wkład do wszystkich spotkań integracyjnych, w których będę brał udział.

– Miałem nadzieję, że się nie zorientujesz. – Klapnął ciężko na fotel obok. – Gra skończona, Emeric. Rozpracowałeś mnie. I co teraz zrobisz?

To było naprawdę dobre pytanie.

– Daruję ci życie – wymamrotałem wspaniałomyślnie. – W końcu gdyby nie ty, nie mógłbym dzisiaj podziwiać tego niezwykłego widoku. – Wskazałem ręką horyzont, na którym rozlewały się światła dalekiego miasta. – A swoją drogą całkiem miłe miejsce wybrał sobie nasz Generał na centrum operacyjne, nie uważasz? Wokół góry, lasy, a do stolicy rzut beretem. Wygoda i ekologia. W takich warunkach zbawianie ludzkości staje się czystą przyjemnością.

– Odkupił to od armii razem z całym wyposażeniem dzień po tym, jak go wywalili ze służby. O ile wiem, nie zastanawiał się wtedy nad lokalizacją.

– No myślę. Taka okazja, i pewnie za pół darmo.

– Cena faktycznie nie była zbyt wygórowana – potwierdził Malik. – Zwłaszcza dla kogoś, kto, jak nasz Generał, jest bogaty „z domu”, i jeszcze ma misję do spełnienia. Zdaje się, że zmieniono wtedy doktrynę obronną, czy coś w tym rodzaju i cały ten kompleks szedł do kasacji. Czysty przypadek.

– Jak wszystko – stwierdziłem filozoficznie, zjeżdżając mimowolnie z fotela; wiklina zaprotestowała nerwowym skrzypieniem. – Bohaterowie są zmęczeni, bohaterowie idą spać.

– Bohaterowie nigdy nie śpią, Emeric – wymądrzył się Malik. – Jazzmani zresztą też. Tłumaczyłeś mi to w barze po występach w „Białym Kruku”, pamiętasz? Taki mały klubik niedaleko plaży…

Akurat tyle zapamiętałem. To właśnie tam po raz pierwszy zobaczyłem jego wstrętną, czarną mordę. Malik okazał się prawdziwym koneserem – nie tylko jazzu zresztą. Wysłuchał całej mojej opowieści, ze wszystkimi wariacjami, komplikacjami i nieuchronnym finałem w postaci zasieków obozu imigracyjnego. Świt zastał nas obu nieźle narąbanych nad brzegiem morza i tam właśnie, wraz z pierwszymi promieniami słońca, zajaśniała dla mnie nowa nadzieja, a Malik podjął się roli przewodnika do krainy wolnych świrów.

– Obiecałeś mi wtedy autograf, ale nie miałem przy sobie żadnej twojej płyty. Dopiero dzisiaj dostałem egzemplarz.

Fotel skrzypiał coraz bardziej. Jakiś dezel – pewnie z demobilu. Zza niedomkniętych drzwi tarasu dobiegło okrutnie sfałszowane „sto lat”.

– Przełożonemu się nie odmawia. – Ostatkiem sił wyciągnąłem rękę po pisak i kompakt. Nawet mnie nie zaskoczyło, że był to najmniej popularny krążek w całym moim dorobku. Z tym większą przyjemnością nasmarowałem nazwisko.

– Niewiele ci mogę dać, ale napisałem tam „Kochanemu Malikowi”. Jeżeli to wystarczy…

– To więcej niż myślisz. – Malik wyszczerzył się w ciemnościach tarasu. – Naprawdę, dużo więcej.

– A teraz, wodzu, jeżeli nie masz dla mnie żadnych nowych rozkazów, prosiłbym o pozwolenie na zaśnięcie. Miałem dzisiaj naprawdę ciężki dzień. Brałem udział w manewrach, upędziłem ze sto litrów pierwszorzędnego bimbru, wygrałem ustawioną walkę, zintegrowałem się z miejscową społecznością, a na koniec poprowadziłem wzruszający wieczór autorski. Gdyby wszyscy tak tyrali, już od dawna na całym świecie panowałby powszechny dobrobyt.

– I co byśmy wtedy robili, Emeric? – zapytał drwiąco Malik.

– Moglibyśmy się wreszcie porządnie wyspać.

***

– **S**ue!

– Na miłość boską, wyciągasz mnie w środku nocy i w dodatku…

– Nikt cię nie śledził?

– Zwariowałeś?!

– Cicho, nie krzycz tak. Siądźmy tam, w kącie. Zamówiłem dla ciebie kawę.

– Ed, co to wszystko ma…

– Nie pytaj o nic. Nie teraz. Słuchaj uważnie. Tu jest mój paszport, tu pełnomocnictwa dla Roberta jako mojego menadżera…

– Ale…

– Ja spadam, ulatniam się, przestaję istnieć. Jak załatwicie wszystkie sprawy, daj ogłoszenie w „Wiadomościach". „Sprzedam zielony fortepian". Zapamiętasz? Wtedy zadzwonię.

– Nic nie rozumiem, Ed…

– Wylali mnie. Ostatecznie i nieodwołalnie. Papiery, bajery, wiesz, jak to wygląda. Chcą mnie wpakować do obozu imigracyjnego. Czekają na mnie w domu i w paru innych miejscach. Bez legalnej pracy nie dostanę przedłużenia wizy, a bez wizy dostanę kopa. To się nazywa oczyszczanie terenu z elementów niepożądanych, niepewnych i bezwartościowych. Miło było pana poznać, panie Emeric, ale teraz niech pan zabiera smutną dupę z naszego pięknego kraju i nie paskudzi w nim więcej powietrza, tym bardziej że pana rodacy to brzydale i nie potrafią się zachować przy stole konferencyjnym. A ja nie mam dokąd wracać. Ani po co. Tam mogę tylko zdechnąć, tutaj… Psiakrew, nie po to stawiałem wszystko na jedną kartę, żeby

teraz… Sama powiedz, czy ktokolwiek ma prawo żądać ode mnie, bym pozwolił się z powrotem wdeptać w bagno?!

– Ciszej, Ed.

– Dobra, zmywam się. Pamiętaj: „Sprzedam zielony fortepian”.

– Zapamiętam. Co ty chcesz zrobić, Ed? Bez paszportu… Potrzebujesz może pieniędzy?

– Nie, nie, poradzę sobie. Nic się nie martw. Mam takie jedno miejsce. Mogę tam siedzieć nawet rok, nikt mnie nie ruszy.

– Boże, co my robimy…

– Nikogo nie okradłem ani nie zabiłem.

– Wiem, Ed, tylko…

– Liczę na ciebie, mała. Na Roberta też muszę liczyć. Nie mam wyboru. Życie wybrało za mnie. I ty.

– Nieprawda, Ed. Życie wybrało za nas oboje.

***

Siedziałem na końcu sali przy samym oknie, delektując się smakiem kawy i obserwując przelatujące z gałęzi na gałąź ptaki. Prawie zapomniałem o ich istnieniu. O wielu sprawach zapomniałem, ale to się zmieni – wszystko się zmieni. Pora przywrócić rzeczom właściwe proporcje: niebo jest przecież wciąż niebieskie, trawa zielona, woda mokra. Trzeba pić kawę, jeść lody i oddychając, wciągać głęboko powietrze. Życie nie jest za karę!

– Podać coś jeszcze? – spytało przechodzące obok dziewczę w firmowym czepku.

– Jasne. Poproszę duży kawałek makowca i jeszcze jedną filiżankę kawy, jeśli nie jest na kartki.

– Pan żartuje? – Zatrzepotała rzęsami.

Uspokoiłem ją niewinnym spojrzeniem.

– Jest świetna, więc bałem się, że po prostu zabraknie.

Nie przekonałem jej, ale też specjalnie mi nie zależało. Byle tylko przyniosła ten makowiec – wyglądał naprawdę apetycznie. No a kawusia… mniam! W bunkrze wprawdzie wyżerka była w porządku, ale takie smakowitości nie trafiały się codziennie.

Gadu, gadu, a tymczasem w rogu wielkiego telebimu wyskoczyła osiemnasta. Rozłożyłem gazetę i po raz nie wiadomo który przesylabizowałem ogłoszenie o zielonym fortepianie. Ciągle tam było. Od czasu gdy Generał osobiście wręczył mi przy obiedzie świeży numer „Wiadomości", nie zmieniła się ani jedna litera. Najwspanialsze ogłoszenie, jakie w życiu widziałem.

Osiemnasta – powinna już tu być! Kontrolne spojrzenie przez okno: obdrapany dżip zdecydowanie odcinał się od wypełniających parking gablot – jak rozczochrany kundel na wystawie psiej arystokracji.

Jest! Szła przez park od strony stacji metra. Wyglądała prześlicznie w doskonale dopasowanym kostiumie koloru kawy z mlekiem, wkomponowana w jesienną alejkę poznaczoną plamami opadających liści. Czysta poezja. Poczułem gwałtowne ukłucie w okolicy serca. Czyżby konieczna była wizyta u kardiologa?

– Pańskie zamówienie.

– Poproszę jeszcze jedną kawę, dla tamtej pani – wywdzięczyłem się do kelnerki.

– Razem trzy pięćdziesiąt – stwierdziła krótko.

Mój wygląd nie wzbudzał widać zaufania – musiałem prezentować się podobnie jak dżip na parkingu. Sue będzie zachwycona. Położyłem na tacy ostatnią piątkę i pomachałem gazetą, żeby pokazać, gdzie jestem.

– Śliczna jak zawsze. – Cmoknąłem ją w policzek.

– Ty też. – Zaśmiała się, potrząsając głową.

– Przecież muszę mieć jakieś wady. – Rozłożyłem bezradnie ręce.

– Ale czemu aż tyle?

Naprawdę miło było na nią patrzeć. Pomyślałem sobie, że przynajmniej ona coś na tym wszystkim skorzystała. Może właśnie dlatego warto było…

– Powinieneś to podpisać – powiedziała, kładąc na stole umowę o pracę. – O, tu i tu – pokazała palcem, podsuwając mi długopis. – Umiesz jeszcze pisać, Ed? Gdzieś ty się w ogóle podziewał? Wyglądasz, jakby cię wyrzucili ze szkoły przetrwania.

Postawiłem zamaszysty podpis, zostając tym samym pracownikiem pana Richardsona na warunkach, których nawet nie przejrzałem.

– Co dalej? – spytała, kładąc na stole mój paszport.

– Dalej… – mruknąłem, całując czule nowiuteńką wizę – …pojadę do domu, ogolę się, wykąpię i pójdę spać. Będę spał, aż mi oczy wygniją. Nie masz pojęcia, jakie to szczęście móc pospać do syta.

– Jasne – wkurzyła się. – O niczym nie mam pojęcia. Tylko ty znasz życie, Ed. I radzisz sobie jak jasna cholera. W ogóle ci nie jestem potrzebna. – Chciała wstać, ale przytrzymałem ją za rękę.

– To nie tak, Sue, wiesz przecież – zacząłem dukać bez sensu. – Przecież ja… my… To znaczy… Dziękuję.

– No proszę, prawdziwy twardziel z ciebie. Całe szczęście, że zapłaciłam czynsz za twoje mieszkanie, bo musiałbyś się wyspać pod mostem.

Co miałem powiedzieć? Dobrze jest mieć zapłacone mieszkanie.

– A tak poza tym, jak sprawy? – zmieniłem sprytnie temat.

Potrafiła się pięknie śmiać.

– To zależy od punktu widzenia – odpowiedziała po chwili, popijając kawę drobnymi łyczkami. – Obiektywnie jest nieźle, subiektywnie – wzruszyła ramionami – sam wiesz najlepiej. Wciąż jesteśmy tu obcy i zawsze będziemy.

– Zasada mniejszego zła.

– Otóż to. – Sięgnęła po torebkę. – Muszę już iść. Pogadamy, jak się wyśpisz.

– Odwiozę cię.

Spojrzała na mnie, potem na parking.

– Przyjechałeś tu bez dokumentów? Tym? – Bezbłędnie zlokalizowała dżipa. – Świetny pomysł, Ed, naprawdę świetny. Grunt to nie zwracać na siebie uwagi.

– Przecież to tylko mała dziura na obrzeżach stolicy. A poza tym mam przy sobie prawo jazdy.

– Doskonale. Dokument wystawiony w kraju, z którym nasza nowa ojczyzna ma ostro na pieńku. Właśnie toczą się rozmowy o jakieś sporne złoża podmorskie, trwają gigantyczne manewry obu flot, blokada gospodarcza i dyplomatyczna przepychanka, a ty… ty… Po prostu ręce opadają.

Miała rację jak cholera, ale w tej chwili, z paszportem w kieszeni i świeżutką wizą…

– I tak jadę do domu, więc mogę cię podrzucić. – Wstałem i wziąłem ją za rękę. – Gdybyśmy byli takimi legalistami, jak proponujesz, siedzielibyśmy teraz w jakimś slumsie, ciesząc się, że mamy co jeść.

– Ale to nie było rozsądne, Ed. – Pocałowała mnie w usta. – Dobrze cię znowu widzieć.

Ruszyła w stronę wyjścia.

Na ekranie wielkiego telebimu szedł chyba jakiś film katastroficzny, bo cały ekran zajmowała pokazywana z lotu ptaka panorama płonącego miasta. Istne piekło. Może nie zwróciłbym na to uwagi, ale obraz chybotał się, jakby był robiony amatorską kamerą, a w polu widzenia mignęła charakterystyczna sylwetka latarni morskiej. Zwolniłem.

– …prawdopodobnie wybuch tankowca spowodował kolejne eksplozje na terenie przepompowni – relacjonował podniecony głos spikera. – Pożar obejmuje już

składy w odległości kilkuset metrów od nadbrzeży i ciągle zwiększa zasięg. Przypuszczalna liczba ofiar przekroczyła…

– Co to jest? – Zatrzymałem się w pół kroku, dostrzegając migający w rogu ekranu napis: „na żywo”.

W poprzek obrazu przemknął helikopter ozdobiony emblematem jakiejś sieci telewizyjnej – to musiała być naprawdę bezpośrednia transmisja. Ktoś w barze krzyknął, ktoś inny poprosił, żeby zrobić głośniej. Ludzie skupili się przed telebimem: zaciekawieni, przestraszeni, z wyrazem niedowierzania na twarzach.

– …jednostki przeciwpożarowe z sąsiednich rejonów. Jednocześnie postawiono w stan alarmu wszystkie służby ratunkowe. Szef obrony cywilnej poleca personelowi medycznemu przybycie do miejsc pracy, bądź, jeśli byłoby to niemożliwe, stawienie się do dyspozycji w najbliższych punktach pierwszej pomocy. Powtarzam: zgodnie z Ustawą o Klęskach Żywiołowych zakazuje się lotów pasażerskich nad obszarem powietrznym stolicy i wstrzymuje transport kolejowy aż do odwołania. Za chwilę nadamy komunikat specjalny…

– Co to znaczy, Ed? – Palce Sue wbijały mi się w ramię aż do bólu. – O czym oni mówią?

– Nie mam pojęcia. Poczekaj chwilę, proszę – uspokajałem ją, chociaż gdzieś w głębi wiedziałem, po prostu wiedziałem… Jeszcze tylko nie chciałem uwierzyć.

– My mieszkamy niedaleko portu. – Musiałem ją podtrzymać, żeby nie upadła. – Mój Boże, oni tam… – Miała kredowobiałą twarz.

– Zadzwoń, w domu na pewno wszystko w porządku. Do przepompowni macie przecież spory kawałek…

Komórka wypadła jej z rąk. Podniosłem, wystukałem numer – puszczony w pętlę głos uprzejmie informował o chwilowej przerwie na łączach i przepraszał w imieniu operatora.

– To tylko awaria, Sue. – Podałem jej telefon. – Za chwilę spróbujesz jeszcze raz. Chcesz może wody?

– …nie możemy wykluczyć, że zostaliśmy zaatakowani. – Jowialny mężczyzna w lekko przekrzywionym krawacie wypełniał cały ekran. – W związku z tym, na mocy przysługujących mi uprawnień, wprowadzam stan wyjątkowy na terenie całego kraju.

Poczułem, jak piekielnie krzepka łapa strachu chwyta mnie za gardło. Więc jednak się odważyli. Skurwysyny, żałosne skurwysyny…

– Była to bezpośrednia transmisja z Pałacu Prezydenckiego – mówiła bezbarwnym głosem spikerka. – Prosimy wszystkich o zachowanie spokoju i stosowanie się do poleceń Gwardii Narodowej. Za chwilę podamy…

No tak – jeżeli coś może się spieprzyć… Kawrasz jego w te i nazad generalska mać!

Ktoś szarpał mnie za ramię.

– Nikt nie odpowiada, Ed. – Sue była na granicy histerii. – Tam jest…

– Jedziemy – zdecydowałem. – Zadzwonisz po drodze.

Wybiegliśmy na zewnątrz.

Dżip zapalił od razu – działał dużo lepiej, niż wyglądał. Wyjechaliśmy na obwodnicę, omijając kilka samochodów stojących w karambolu u wylotu parkingu. Ludzie skakali sobie do oczu o potłuczony lakier, podczas gdy cały świat walił im się na głowy. Tylko że oni tego jeszcze nie pojmowali. Bezchmurne niebo, wisząca nad horyzontem soczysta kula zachodzącego słońca, ciepły, jesienny wiatr strącający kolorowe liście z drzew – nic jeszcze nie zapowiadało nadciągającego kataklizmu, może poza odległym jodłowaniem syren.

Grzałem, ile się dało, zdając sobie sprawę, że w każdej chwili szosy mogą zostać zablokowane. Dwadzieścia kilometrów pokonaliśmy w kilkanaście minut, raz tylko omijając poboczem niewielki korek z przewróconą ciężarówką w środku. Zaraz

potem zjechaliśmy z obwodnicy w rozproszoną zabudowę przedmieścia. Daleko przed nami wisiała ogromna, pulsująca czapa tłustego dymu. Zapadał zmierzch. Zerknąłem na Sue – ciągle dzwoniła, ale najwyraźniej nic z tego nie wynikało. Dzielnica willowa została za nami, wpadliśmy w ciasne uliczki wciśnięte między stare, kilkupiętrowe kamienice. Zrobiło się trudniej – masa ludzi, samochodów, nerwowego pośpiechu, czasem pędząca na sygnale karetka lub wóz straży pożarnej. To był przedsionek piekła, a my próbowaliśmy wjechać do samego środka.

Bezskutecznie.

Blokada wyglądała solidnie – zapory, ruchome kurtyny z dwóch transporterów opancerzonych, migające światła, policja i żandarmeria wojskowa. Ledwo zdążyłem wyhamować na końcu kolejki, a już za mną ustawił się ktoś następny i jeszcze jeden. Wpadliśmy jak śliwka w kompot – ani do przodu, ani do tyłu.

– Dlaczego stoimy, Ed? – Sue była kompletnie nieprzytomna z przerażenia.

– Musimy chwilę poczekać. To nie potrwa długo. – Sam miałem taką nadzieję.

Z przodu jeden z samochodów przejeżdżał właśnie powoli między transporterami , które zgrabnie ustąpiły mu miejsca, po czym wróciły na stanowiska, ponownie blokując drogę. Drugi, mimo gwałtownych protestów pasażerów, musiał zawrócić. Przypomniałem sobie o radiu – może będą jakieś wiadomości – ale z głośników leciała tylko muzyka poważna.

– Proszę przygotować dokumenty. – Barczysty gość w prawdziwym mundurze zmierzył nas podejrzliwym spojrzeniem. Na widok mojego paszportu cofnął się o metr, położył dłoń na kaburze i kazał wysiąść. Wyraźnie nie żartował.

– Ja tam mieszkam. – Sue na szczęście miała miejscowe papiery, które sprawdzał drugi policjant. – Proszę powiedzieć, czy wiadomo coś o osiedlu XX-lecia?

– Jest w strefie zagrożenia – jak spod ziemi pojawił się kolejny mundurowy i z wprawą przeszukał wnętrze dżipa. – To pańskie? – spytał, wskazując futerał leżący

na tylnym siedzeniu. – Proszę otworzyć. – Nawet nie wiedziałem, że Malik wrzucił mi do środka gitarę. – Dziękuję.

– Dokumenty wozu. – Ten pierwszy wciąż trzymał dłoń na kaburze.

Nie miałem pojęcia, gdzie mogą być, jeśli w ogóle były. Powiedziałem im o tym.

– To pożyczony samochód – dodałem. – Może są w schowku.

Modliłem się, żeby tam leżały, ale nic z tego nie wyszło.

– Proszę przejść do radiowozu, sprawdzimy numery w bazie danych.

Wyglądało mi to na początek kłopotów.

– Dokąd idziesz, Ed? – Sue patrzyła na mnie błagalnym wzrokiem. – Mieliśmy przecież jechać do domu.

– Wszystko będzie dobrze. – Przytrzymałem przez moment jej rękę. – Spróbuj zadzwonić, może się czegoś dowiesz. Ja zaraz wrócę.

Gdzieś całkiem blisko zabrzmiało kilka potężnych eksplozji. Pogasły latarnie i światła w oknach domów, zostały tylko migające lampy blokady i pojedynczy reflektor, obejmujący stojące w rosnącej kolejce samochody. W perspektywie ulicy zarysy budynków widoczne były z upiorną wyrazistością na tle coraz bliższej ściany ognia. Rozgadały się krótkofalówki mundurowych. Transportery zrobiły drogę dla dwóch wozów strażackich jadących w stronę pożaru i właśnie zaczęły z powrotem zamykać przejście, gdy dżip ruszył…

– Nie!

Widziałem, jak Sue omija wariackim slalomem bariery, jak nad jej głową przelatują świetlne serie strzałów ostrzegawczych, jak koła trzaskają na rozwiniętej w ostatniej chwili kolczatce, a samochód, straciwszy sterowność, wali całym pędem w bok transportera.

Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że przez cały ten czas krzyczę.

Dalej wszystko potoczyło się jak w sennym transie – karetka, szpital, białe fartuchy i wielkie dwuskrzydłowe drzwi z czerwonym napisem: „Blok operacyjny". Nie wiem, jak długo tam siedziałem i ile czasu minęło, zanim pojąłem, że słyszę telefon. Jej telefon.

Dzwonił Richardson.

– Tak – odpowiedziałem. – Jesteśmy u św. Franciszka. Miała wypadek. Mówią, że wyjdzie z tego. A co z wami?

Potem czekałem jeszcze długo – na nią, na nich, na świt i na koniec świata.

***

– **Z**asnąłeś, Ed?

– Tak, chyba tak… Nie mam pojęcia. A czemu pytasz?

– Bo ja się jeszcze nie obudziłam, więc skoro rozmawiamy, to ty chyba też śpisz.

– Sam nie wiem. Możliwe. Dlaczego to zrobiłaś, Sue? Dlaczego nie zaczekałaś, aż wrócę?

– To tak jakoś samo wyszło, Ed. Przepraszam, ale wtedy myślałam, że to dobry pomysł.

– Przecież mogli cię zastrzelić, mogłaś zginąć w wypadku, mogło się zdarzyć tysiąc innych rzeczy!

– No dobrze, nie krzycz już. Naprawdę przepraszam. Nie wściekaj się.

– Gadanie.

– Ed?

– Tak?

– Ładny był ten kawałek, który grałeś na gitarze w korytarzu.

– Słyszałaś?

– Oczywiście. Co to jest?

– Skomponowałem go przed chwilą. To blues. Blues dla Suezabeth.

– Dla mnie?!

– Chciałbym, żebyś miała czego posłuchać, jak już wyjdziesz ze szpitala. Jest tylko jeden problem.

– Jaki, Ed?

– Że chyba mamy tam wojnę.

***

Następnego dnia ugaszono pożary w mieście i wszystko zaczęło powoli wracać do normy. Oficjalnie był to tylko tragiczny w skutkach wypadek. Jak zwykle specjalna komisja zajęła się ustalaniem przyczyn katastrofy. Odwołano stan wyjątkowy, ogłoszono kilkudniową żałobę, wyrażono żal i współczucie. Żołnierze odjechali do koszarów, dyplomaci usiedli do stołów konferencyjnych, ja poszedłem do domu. Życie biegło swoim torem.

Sue wypisano ze szpitala po miesiącu. Jeszcze kilka tygodni trwała rehabilitacja, ale w sumie obyło się bez komplikacji. Zawsze miała szczęście.

Moja następna płyta nosiła tytuł *Blues dla Suezabeth*. Odniosła wielki sukces, chociaż wcale mi na tym nie zależało. Richardson zarobił na niej kupę szmalu, ale nie miałem o to do niego pretensji – był przecież moim menadżerem. Nawet nieźle się rozumieliśmy. No i sporo nas też łączyło.

Kupiłem sobie zielony fortepian. Normalnie takich nie robią, ale uparłem się, więc nie mieli wyboru. W końcu to tylko kwestia ceny.

Czasami odwiedzam Generała i jego bojowników. Nie ma to jak porządny alarm, najlepiej purpurowy, trzeciego stopnia, z tęczowymi kodami, obsadzaniem rubieży i całą resztą. Musimy być gotowi. Jesteśmy gotowi. Przecież jeżeli coś może się spieprzyć, spieprzy się.

Oficyna wydawnicza RW2010

Na każdą kieszeń na każdy czytnik

Firma „Pillon i Synowie" prowadzi na rynku nieruchomości interesy na olbrzymią skalę, jednak nawet dla niej przejęcie całej planety ze wszystkimi jej bogactwami i inwentarzem to nie lada wyzwanie. Czy naprawdę tak trudno być Bogiem, jeśli się ma możliwości?
Reguły gry zostały ustalone dawno temu. Testament Dominika Pillona określał je bardzo precyzyjnie. Pillon i synowie. Jego synowie. Niektórzy już odeszli, niektórzy jeszcze się nie urodzili. Filip jest po prostu jednym z nich – młodszym Pillonem w fazie szkolenia...

Dobre ebooki w dobrej cenie

szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach

RW2010
REWOLUCJA WYDAWNICZA!